TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Rok L, No. 39 | Nowy Jork, 3 października — New York, N. Y., October 3, 1943 | Cena 10 ct.

DZIŚ W NUMERZE:

Carl Cramer
Witold Leitgeber
Felicja Lilpop-Krancowa
Herminja Naglerowa
Stanisław Strzetelski
Kazimierz Wierzyński
Henryk Zieliński

STANISŁAW STRZETELSKI

Ośmiu architektów i jeden mechanik pokoju

Przyszły pokój można **zbudować**, tak jak architekci budują dom, na podstawie zgóry ustalonych zasad i według zgóry określonego planu. I przyszły pokój można narzucić światu za pomocą manewrowania gotowemi elementami siły wielkich mocarstw.

To jest istotna różnica między organiczną a mechaniczną koncepcją pokoju. W jednym wypadku o obliczu jutrzejszego świata będą decydowały także zasady prawa, sprawiedliwości i wolności narodu, w drugim wyłącznie probierze siły fizycznej, to znaczy potencjał ludnościowy, wojskowy i gospodarczy państw.

Tak, jak, zwłaszcza po ostatniej mowie Cordell Hulla jest rzeczą jasną, że rząd U. S. A. stoi zdecydowanie na organicznem stanowisku zasad, tak samo nie ulega wątpliwości, że np. Rosja Sowiecka opiera się wyłącznie na mechanice siły i wszystkie postulaty moralno-polityczne uważa jedynie za uciążliwy balast propagandowy.

Powstaje teraz pytanie: jakie stanowisko zajmuje w tej "kluczowej" sprawie nie rząd, lecz opinja publiczna Stanów Zjednoczonych A. P.?

By znaleźć najbliższą prawdy odpowiedź na to pytanie, trzeba wpierw, bodaj w ogólnym skrócie zapoznać się z najważniejszemi elementami dyskusji publicznej, prowadzonej ostatnio na ten temat w U. S. A.

* * *

Redakcja "New York Times" zaprosiła w ubiegły piątek 8 najwybitniejszych amerykańskich "konstruktorów" pokoju, by wypowiedzieli swe uwagi na temat organizacji świata po wojnie.

Zebranie zagaiła znana publicystka Anna O'Hare McCormick, prezentując 8 referentów wieczoru jako "architektów przyszłości," którzy zebrali się, by wziąć udział w dyskusji nad "kluczowem zagadnieniem naszych czasów," to znaczy nad sprawą organizacji pokoju światowego.

Pierwszy przemawiał J. W. Fullbright, młody poseł z Arkansas, autor słynnej rezolucji, uchwalonej przed kilku dniami olbrzymią większością przez Izbę Reprezentantów. Przyjęcie tej rezolucji, złożonej zaledwie z 51 słów, i zalecającej udział U. S. A. w "międzynarodowej maszynerji," zdolnej dzięki "odpowiedniej sile" do utrzymania "sprawiedliwego i trwałego pokoju" wykazało, że w przeciwieństwie do okresu po pierwszej wojnie światowej amerykańska opinja publiczna w większości swej zdaje sobie sprawę z konieczności zaangażowania U. S. A. w systemie zbiorowego bezpieczeństwa. Na zebraniu "New York Times" J. W. Fullbright ograniczył się do krótkiej obrony swej tezy przed zarzutem głoszącym, iż udział w zbiorowej organizacji pokoju narazi na szwank suwerenność Stanów Zjednoczonych. Referent stwierdza, że fałszywie pojęta suwerenność naraziła Amerykę w przeszłości na gorzkie doświadczenia, a pełny i równy z innymi narodami udział U. S. A. w organizacji, zapewniającej ład i bezpieczeństwo w świecie nie będzie żadną ofiarą, lecz przeciwnie stworzy zdrową podstawę dla polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Po Fullbright przemawiał równie młody i równie dziś głośny senator Ball, jeden z czterech współautorów słynnej rezolucji senackiej No. 114. Rezolucja ta, zgłoszona przez senatorów Balla, Burtona, Hilla i Hatcha była bardziej szczegółowa od rezolucji Fullbrighta, jakkolwiek szła w tym samym kierunku, to znaczy domagała się udziału U. S. A. w uniwersalnej organizacji, dysponującej siłą wystarczającą do uniemożliwienia wszelkiej agresji. Senator Ball gorąco wystąpił przeciwko kunktatorom, zalecającym "rezerwę" Ameryki aż do czasu ujawnienia celów Anglji i Rosji. Dowodził, iż zajęcie przez Amerykę jasnej i zdecydowanej pozycji wywrze przemożny wpływ na dalszy bieg polityki światowej.

J. F. Dulles, przewodniczący "komisji studjów nad sprawiedliwym i trwałym pokojem" przy związku kościołów protestanckich w U. S. A. referuje treść "sześciu filarów pokoju" sformułowanych przez tę komisję która reprezentuje bardzo liczny i wpływowy odłam opinji nietylko amerykańskiej, lecz również angielskiej. I ten program również stoi na stanowisku uniwersalnej organizacji bezpieczeństwa, wysuwając ponadto postulat międzynarodowej gwarancji dla "religijnej i intelektualnej wolności wszystkich ludzi."

Odmienny charakter miało przemówienie następnego mówcy H. Lipsona, byłego posła U. S. A. w Polsce. H. Lipson wydał niedawno wspólnie z b. prezydentem Hooverem książkę p. t. "Zagadnienia trwałego pokoju." Obaj politycy proponują, by narody sprzymierzone udzieliły już obecnie mandatu "kilku czołowym państwom," jako "strażnikom pokoju", działającym w imieniu wszystkich Aljantów.

Pp. Lipson i Hoover uzasadniają swoją koncepcję w następujący sposób: po każdej wielkiej wojnie kilka wielkich mocarstw, związanych aljansem bierze w swe ręce dyspozycje i decyzje światowe. Po obecnej wojnie jednak wielkie mocarstwa nie powinny działać jako takie, lecz w charakterze związanych wyraźną umową pełnomocników narodów aljanckich, "po raz pierwszy w historji" na podstawie wyraźnego "kodeksu moralnego." Stworzenie takiego ciała kierowniczego ma być tylko "pierwszym krokiem." Następny polegałby na powszechnej umowie zjednoczonych narodów, regulujących szczegółowe warunki organizacji pokoju. Zdaniem pp. Hoovera i Lipsona tylko takie rozwiązanie może zapobiec niebezpieczeństwu imperjalistycznych aljantów i kontraljantów.

Z kolei zabrał głos J. T. Shotwell, wybitny profesor Columbji i przewodniczący jednej z czołowych komórek planistycznych "komisji studjów nad organizacją pokoju." Koncepcja Shotwella ideowo zbliżona do planu komisji kościelnej przewiduje, iż celami międzynarodowej organizacji pokoju będą zapewnienie bezpieczeństwa i sprawiedliwości w całym świecie, rozwój gospodarczy i społeczny wszystkich narodów, oraz uniwersalna ochrona praw jednostki. Bardzo sceptycznie natomiast zapatruje się Prof. Shotwell na projekty międzynarodowej "policji pokojowej," uważając za bardziej realną metodę doraźnego współdziałania poszczególnych armji przeciw napastnikowi.

Clarence K. Streit. W roku 1939 uważano autora książki "Union now," wydanej własnym kosztem w 300 zaledwie egzemplarzach za nieszkodliwego utopistę. Po dwu latach Streit stał się jedną z czołowych postaci w amerykańskim świecie "pianisytycznym," a według "Fortune" idee jego uzyskały w r. 1941 poparcie przeszło 1/3 opinji amerykańskiej. C. K. Streit pragnie oprzeć organizację pokoju na wielkiej federacji, której "członkami założycielami" ma być 15 państw demokratycznych "rejonu atlantyckiego." (U. S. A., Wielka Brytanja, Kanada, Irlandja Południowa Afryka, Australja, Nowa Zelandja, Francja, Szwajcarja, Belgja, Holandja, Danja, Norwegja, Szwecja i Finlandja). Ideę swą formułuje C. K. Streit w następującym sloganie: Ameryka obejmuje inicjatywę w akcji organizowania federalnej unji wolnych narodów, jako zalążka "rządu światowego." Unja ta posiadałaby konstytucję wzorowaną na konstytucji U. S. A. Ostatnio C. K. Streit, nie rezygnując z tego naczelnego celu uważa, że wstępnym etapem realizacyjnym tej akcji powinna być ścisła unja U. S. A. z W. Brytanją.

Siódmym z kolei "architektą przyszłości" był Ely Culbertson, do niedawna znany tylko jako światowej sławy brydżista, dziś autor szeroko dyskutowanego planu pokojowej organizacji świata. Culbertson proponuje podział świata na 11 regjonalnych federacji, połączonych jedną uniwersalną federacją, dysponującą jedną międzynarodową siłą policyjną. 9 federacji a mianowicie amerykańska, brytyjska, łacińska, niemiecka, rosyjska, środkowo-europejska, federacja Bliskiego Wschodu, japońska i chińska, posiadałyby pełną suwerenność, natomiast indyjska pozostałaby pod przejściowym "leadership" Anglji a malajska — Ameryki. Poza Niemcami, Włochami i Japonją udział w federacji byłby dobrowolny, z prawem wyboru między sąsiadującymi federacjami. Ośrodkiem każdej federacji mają być państwa z tak zwanem prawem inicjatywy. Do państw takich Streit zalicza Polskę, która stać się ma ośrodkiem federacji, złożonej pozatem z Litwy, Czechosłowacji, Rumunji, Węgier, Jugosławji, Bułgarji, Albanji i Grecji W ramach międzynarodowej siły zbrojnej Polska posiadać ma prawo do utrzymania 4% globalnej siły tej armji, to znaczy tyle, co wszystkie inne państwa z "prawem inicjatywy" z wyjątkiem U. S. A., W. Brytanji, Rosji i Japonji.

Ostatnim wreszcie referentem "Round Table" "New York Times" była kobieta p. Ruth Owen Rhode, b. poseł U. S. A. w Danji, autorka niedawno wydanej książki o przyszłym pokoju. P. Rhode opiera swój plan na "konstytucji narodów," zapewniającej wszystkim narodom wolność, suwerenność i bezpieczeństwo oraz przewidującej stworzenie międzynarodowej siły zbrojnej i międzynarodowego sądownictwa.

* * *

Przytoczone powyżej streszczenie głosów 8 "architektów przyszłości" przedstawia się na pierwszy rzut oka jako ostra mozaika rozmaitych i niejednokrotnie wzajemnie wykluczających się planów i pomysłów. Bardziej szczegółowa analiza wykazuje jednak, że wszystkie te koncepcje posiadają w większym lub mniejszym stopniu dwie wspólne cechy. Po pierwsze wszystkie wychodzą z założenia, że przyszły pokój musi być zbudowany na podstawie zgóry ustalonego planu a po drugie wszystkie godzą się, że plan ten powinien być oparty o wyraźne zasady moralno-polityczne natury.

Pod tymi względami koncepcje 8 "architektów przyszłości" reprezentujących w sumie większość opinji amerykańskiej zgodne są z zasadniczym tonem zarówno ostatniego exposé Cordell Hulla jak i rezolucji, uchwalonej przez republikanów na zjeździe w Macinac.

Zupełne inny charakter mają poglądy grupy reprezentowanej przez pp. Wilkiego i Lippmanna.

Pan Lippmann i jego przyjaciele, dysponujący dziennikiem "Herald Tribune" i koncernem wydawniczym "Time-Life" wychodzą z założenia iż planowanie jest w polityce światowej igraszką niepoprawnych polityków a moralizowanie zgubną zabawą nieodpowiedzialnych utopistów.

Najjaśniej występuje oblicze tej grupy na tle jej stosunku do Rosji. P. Lippmannn, który przed dwoma tygodniami ostro zaatakował mowę Cordell Hulla za jej rzekomy utopizm, pisze w dniu 25 września na łamach "Herald Tribune":

"Jesteśmy Aljantami Rosji w tej wielkiej wojnie. Po zwycięstwie będziemy żyli z Rosją na tym samym świecie W tych warunkach świadomość, że musimy znaleźć drogi wygodnego z nią współżycia i współpracy jest znacznie ważniejsza od małych epizodów, których znaczenie staramy się nieustannie wyolbrzymiać."

Totalizm, żarłoczna zaborczość i cyniczna amoralność polityki rosyjskiej, to są dla p. Lippmanna "drobne epizody". Ważną jest — jak twierdzi w tym samym artykule — tylko "koncentracja sił" wielkich mocarstw. Na jakich zasadach? To zależy tylko od... rozwoju wypadków.

Zdumiewającą jest rzeczą, jak pisarz demokratyczny i liberalny uległ magji polityki "siły" i w swym neofityźmie gotów jest do daleko sięgających kompromisów z wrogą koncepcją totalistyczną. P. Lippmann nie chce być "architektem" pokoju. Woli rolę mechanika, manewrującego od konjunktury na polu czystej energetyki do konjunktury wojskowej i politycznej.

* * *

Jeśli mamy teraz powrócić do postawionego na początku artykułu pytania, odpowiedź będzie brzmiała następująco:

1) W amerykańskiej opinji publicznej nie skrystalizowały się jeszcze ostatecznie poglądy na sprawę treści i form przyszłej organizacji pokoju światowego.

2) W przeciwieństwie do okresu po pierwszej wojnie światowej w opinji zwyciężyła myśl, iż Ameryka powinna zaangażować się w systemie bezpieczeństwa o uniwersalnym charakterze.

3) Co do formy i metod tego zaangażowania się panuje rozbieżność zdań.

4) Dzięki działalności szeregu grup społecznych a przedewszystkiem dzięki stanowisku, zajętemu przez miarodajne sfery rządowe, olbrzymia większość opinji publicznej w U. S. A. (może właśnie w stosunku 8:1) stoi na stanowisku, iż przyszły pokój w świecie musi być oparty o przygotowany zgóry plan i wyraźne zasady moralno-polityczne.

5) Istnieje jednak wpływowa i silna grupa, która pragnie podstawy przyszłego porządku politycznego w świecie oprzeć na czysto mechanicznej i imperjalistycznej koncepcji aljansu kilku wielkich mocarstw.

W POPRZEDNIM (38) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Stanisław Strzetelski: Przełom w U. S. A.; Józef Liwski: "Message of sympathetic goodwill"; Witold Leitgeber: Na tułaczym szlaku: Junacy; Jan Lechoń: U Rodzińskiego na amerykańskiem Podhalu; Stanisław Rurat: Te same błędy.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

* * *

By nie dziwić się, wiedzieć, nato są uczeni,
Nam wyjść z podziwu trudno, myśmy zaślepieni.

Nad nimi może prawda, może tylko złuda,
Dla nas wszystko jest żywe, chleb, wino i cuda.

Oni przejrzą rzecz każdą, zbadają na nowo
Dla nas jedno początkiem wszystkiego jest: słowo.

Dla nas drzewa i wiatry i inni koledzy
Bezprzyczynnej zadumy, dziejącej się wiedzy.

Dla nas sens z poza sensu, z za śmierci i życia,
Oko znikąd niewidne, patrzące z ukrycia.

Wzrok co biegnie nawylot, oświeca naprzestrzał:
Profesorze zaświatów, daj coś nam obwieszczał.

Nauczycielu trudny, źródło tajemnicy,
Przeczucie daj nam wieczne w sumiennej źrenicy.

Widzenie śród ciemności, słowo co się ziści,
Nutę, byśmy ci grali, ślepi organiści.

FELICJA LILPOP-KRANCOWA

Pamięci Bolesława Micińskiego

"Dobrze sądzić, to znaczy dobrze czynić." (Sokrates)

W Grenoble zmarł 30 maja 1943 Bolesław Miciński. Oddawna chorował ciężko na płuca, ale mocny jego organizm tylekroć już wychodził zwycięsko z najgroźniejszych — zdawałoby się — ataków gruźlicy, tyle wydanych na siebie przez lekarzy wyroków uniknął i czujność ich zmylił, że pozwolił nam, przyjaciołom wierzyć w to, w co sam chciał wierzyć tak gorąco — że się nie da, że przetrwa i że odnajdziemy go znowu po latach rozłąki takiego, jakim znaliśmy go zawsze, najszlachetniejszego i najdroższego z przyjaciół.

Nie są znane szczegóły ani ostatnich chwil jego życia ani warunków, w jakich się wraz z rodziną znajdował od czasu, gdy przestała istnieć we Francji "zone libre," a Grenoble znalazła się najpierw pod niemiecką, a potem pod włoską okupacją. Komunikacja pocztowa ustała bowiem zupełnie i trzeba było dopiero, by się rozegrał ostatni akt tej tragedji, aby imię Bolesława Micińskiego, już do innego lepszego świata należące, pojawiło się tutaj między nami.

Bolesław Miciński urodził się dn. 23.IV. 1911 roku w majątku Mokra na Podolu. Studja średnie odbył w gimnazjum klasycznem w Bydgoszczy i w Warszawie. Na Uniwersytecie Warszawskim studjował filozofję ścisłą pod kierownictwem prof. Tatarkiewicza i uzyskał w r. 1937 stopień magistra. Pracę literacką rozpoczął w "Kwadrydze" w r. 1931 w 1935 objął dział krytyki poetyckiej w "Prosto z mostu." Później pracował nad rozprawą doktorską o Wiktorze Cousin. Notatka niniejsza na małej karteczce papieru, opatrzona także w fotografję, dołączona została do wydanej w r. 1937-ym niedużej książeczki "Podróże do piekiel." Obok drukowanych w tygodnikach literackich artykułów i essayów (ostatnie ukazały się w "Wiadomościach Polskich" w Paryżu w r. 1940) jest to jedyna wydana praca. Nie jedyna wszelako, jaką napisał. Zważywszy młody wiek i zważywszy chorobę, która nieraz na wiele miesięcy przykuwała go do łóżka w sanatorjum — Miciński pisał dużo, pracował zaś bez przerwy. Zaczął jako poeta, ale potem z pewnem lekceważeniem sam się o własnych wierszach wyraził, — "Zbiór essayów i studjów" filozoficzno-krytycznych, złożony był do druku w Warszawie, przed samą wojną. We Francji w 1941-ym roku powstała praca o Kancie i szereg szkiców, na które powołuje się w listach.

Jak określić "Podróże do piekieł," ten jedyny w swoim rodzaju utwór, gdzie mądrość sądów, zadziwiająca erudycja i poetyckie piękno języka składają się na całość tak czarowną i olśniewającą, że wrażenie, jakie się z tej lektury odbiera, tym tylko mogło się wydawać nieobce, którzy, znając Micińskiego bliżej, zawsze najświetniejszych rzeczy po nim się spodziewali. Olśniewał on inteligencją, zniewalał czarem osobistym. Skromny, jak każdy prawdziwy artysta, namiętnie uczuciowy i pełen głębokiej powagi, mistyk i myśliciel — Miciński roztaczał wokół siebie tego samego gatunku "rayonnement" co Szymanowski, co Pankiewicz, których przyjaźń tak sobie cenił.

O jego karjerze naukowej niewiele niestety mogę powiedzieć: dziedzina ilozofji ścisłej jest mi zbyt niedostępna, by choć w przybliżeniu wykazać dorobek Micińskiego na tem polu. Wiem, że wkótce po ukończeniu wydziału został asystentem filozofji na Warsz. Uniwersytecie, że przez rok wykładał w gimnazjach — co mu pozwoliło bliżej zapoznać się z "zagadnieniem dzisiejszej młodzieży," o której pisze w listach nie bez goryczy. Dochodziły mnie także słuchy o jego znakomitych odczytach.

BOLESŁAW MICIŃSKI

Lata studenckie Bolka — bo tak go nazywaliśmy wszyscy — kiedy to równie często jak w Kole Filozoficznem spotkać go było można, w towarzystwie siostry, na koncertach w Warszawskiej Filharmonji — kojarzą mi się w pamięci z postaciami Krońskiego, kolegi z filozofji, pisarza Uniłowskiego i poety Miłosza, z muzykami Maciejewskim i Małcużyńskim, (Szymanowskiego nadewszystko uwielbiał), z malarzem Czapskim, z Tarnowskim. W sztuce swojej uważał się poniekąd za ucznia Wittlina, — zachwycała go filozoficzna myśl St. I. Witkiewicza (we Francji, dowiedziawszy się o jego śmierci, zamierzał poświęcić mu dłuższe studjum, lecz z braku materjałów odkładał to na później), z Jerzym Stempowskim łączyły go więzy najbardziej może istotne — i zeszłoroczny przyjazd "pana Jerzego" ze Szwajcarji do Grenoble, niestety na kilka dni tylko, komentowany był przez całą rodzinę Micińskich jako wydarzenie niezmiernie doniosłe.

Wiosną 1938-go przyjechali Micińscy, jako młode małżeństwo do Francji. Obaje otrzymali wówczas stypendja na dalsze studja i postanowili odbyć je w Grenoble, z profesorem Chevalier, nie przeczuwając w jak odmiennych warunkach znajdą się w tejże Grenoble w niespełna trzy lata później. Wojna zastała ich w Warszawie. Ewakuowani dokądś na wschód z dyrekcją Polskiego Radja znaleźli się pod bolszewikami, skąd, po długich kolejach zdołali zbiec i przez Wilno i Szwecję dobrnęli do Paryża późną jesienią 39-go, Halina w ostatnich tygodniach ciąży, Bolek z odnowioną gruźlicą. Lecz potem miało się już lepiej ułożyć. Nastąpiły miesiące kojącej ciszy w Montaigut (Allier), mieszkali wówczas we czworo, z nowonarodzoną Anną-Ludwiką i z siostrą Bolesława, Anielą Micińską, w której potem miała się — według słów brata — odezwać świetna poetka. Bolek zabrał się do pisania: powstał pierwszy szkic o Kancie, artykuł "O nienawiści" i "List do małego Francesca," oba drukowane w Wiadomościach Polskich.

Lecz przyszła "débacle," klęska. Exodus ich także wygnał na tułacze drogi wrogiej wówczas i niegościnnej Francji. Parę tygodni poniewierki, nerwowego niepokoju, cudem uniknięcia niebezpieczeństwa pozostania pod Niemcami, spowodowały ponowne pogorszenie się zdrowia, później paromiesięczny pobyt w sanatorjum.

Byliśmy z Micińskim razem do października 1940-go. Po tej dacie przenieśli się oni do Grenoble. Problem wyjazdu czy pozostania we Francji rozważany był ciągle w ich rodzinie i przechylał się to na tę, to na drugą stronę, nigdy jednak oba konieczne czynniki: wizy i zdrowie Bolka nie zbiegły się w czasie. Tak oto, mając rzekome prawo wyboru, uwikłani byli w sytuację, którą w szkicu o Odyssei sam on tak określa: "Indywidualne zdarzenia tragiczne odsłaniają tylko trwałe, z samą istotą świata dane czynniki, związki i siły, które, leżąc ponad wolnością człowieka, prowadzą go z nieuchronną koniecznością do nieuniknionej i niezawinionej katastrofy, do unicestwienia wartości planów, zamysłów i pragnień."

W marcu 42go roku byli zdecydowani "zmienić mieszkanie" i "dostali zaproszenie do Miecia (Londyn) lecz "chyba nie przed zimą" będą mogli to zrobić Oto wyjątki z listu: "Żyjemy pod (a właściwie nad) Grenoble. Widok jest przepiękny — życie trudne. Najgorszy jest klimat moralny. Jest w tem — z jednej strony — niepokój kolejowego dworca i — z drugiej — zupełny brak ruchu. Nawet koty i psy są zaspane i nieufne. Nie skarżę się, bo każda emigracja jest smutna. Żyjemy na walizkach, tak że nie korzystamy nawet z tych skromnych dóbr, które zamknęliśmy w kuferkach. Obrzydliwe prowizorjum, plus zażenowanie gości nieproszonych, dla których nie przygotowano domowej kolacji. Najsmutniejszy dla nas jest może pejzaż — jakby "na wyrost," jakby ojcowskie ubranie na piegowatym smarkaczu. Alpy wydają się zaduże, dolina Izery za piękna..... Dostaliśmy niedawno zaproszenie "do Miecia." Warto zmienić mieszkanie, bo tu trudno żyć. Jesteśmy zdecydowani na przeprowadzkę, ale to chyba nie przed zimą. Ostatnio czuję się trochę gorzej i lekarzowi nie podobały się jakieś plamy nowe pod obojczykiem. Radził mi jeść dużo mięsa (!) a potem westchnął i zapalił papierosa z kukurydzy, machając ręką: "możeby pan spróbował więcej spać." Po napisaniu niewielkiego (ale zdaje się, że dobre!) szkicu o Kancie, nic nie pisałem. Zima była ciężka. Teraz zacząłem rozwijać — pisaną dla Was — książeczkę z Montaigut. ....Jesteśmy z wszystkimi w przyjaźni, ale zupełnie nie mamy przyjaciół. I to jest najsmutniejsze."

Wreszcie w sierpniu 1942-go nietylko wizy były gotowe, ale i załatwiony przelot do Anglji. Wówczas właśnie lekarze stanowczo sprzeciwili się wyjazdowi. Halina Micińska odczuła to jako "pech najwyraźniejszy," Bolek znalazł tyle hartu, żeby zacząć list od wyrazów radości z narodzenia naszego drugiego synka — o którym właśnie się dowiedział — i zachwytów nad swoją córką. O przekreślonych zamierzeniach, o tragicznej konieczności pozostania, nie wspomina nawet, bo najsmutniejsze jest to, że "czas ucieka i nie ma sił do pracy."

O tem, nad czem pracował, tak jeszcze pisze gdzieindziej: "Myślę (i potrosze nawet o tem już piszę) o tak zwanem "zagadnieniu młodzieży." Jeżeli młodość jest "rzeźbiarką życia" to rzeźbi źle. Jeżeli jest skorupką, które nasiąka zamłodu, to nasiąka trucizną. Wierzę głęboko w zwycięstwo nasze, ale ze smutkiem myślę o tem, że konający wróg zatruje nas swoim jadem — jadem rozkładającego się ciała. To będzie zemsta z za grobu. I dlatego jestem na pewien czas pesymistą: zwyciężymy, ale to, co w nas dobre, będzie wyczerpane, anemiczne, niezdolne do akcji,—silni, przetrwają ci, którzy podejmą złamane, przezwyciężone hasła. Nie można bezkarnie prowadzić wojny. Widzimy tragiczne skutki wojny 1914-1918. Wojna niszczy moralnie obie strony i takie może być zwycięstwo — sprawiedliwe nawet — poloonanych. Przygotowałem niedawno dużą szkic książki "O dawnych i przyszłych grzechach." Wejdzie w tę książkę to, co pisałem w Montaigut i o czem rozmawialiśmy razem. Podyktowałem Halusi całość a potem rozwinąłem szereg rozdziałów.... Podobno wszyscy gruźlicy przywiązują zbyt wielką wagę do swoich myśli i tworów — a ja przedstawiłem moje szkice ludziom zdrowym i spotkałem się z bardzo gorącem przyjęciem. Jednem słowem: podobało się."

Nie sposób, cytując fragmenty z listów Bolesława Micińskiego, pominąć miejsce jakie w nich zajmują uczuciowo sprawy przyjaźni,. "Zatrute drzewo życia wydaje — podobno — jeden zdrowy owoc: przyjaźń... Przyjaźń była zawsze zasadą i celem mojego postępowania." "Potwierdziło się to, w co zawsze wierzyłem: że mocniejsza od wojny jest przyjaźń, przywiązanie i wdzięczność i teraz, kiedy dosłownie zachwiała się historja, jestem szczęśliwy, że mogę odnaleźć siłę we wspomnieniach."

Bolesław Miciński z córką.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

HENRYK ZIELIŃSKI

EUROPEIZACJA NIEMIEC CZY ZNIEMCZENIE EUROPY?

W czwartym kolejnym raporcie, sporządzonym przez Komitet Wydawców "Time," "Life" i "Fortune" p.t. RELATIONS WITH EUROPE, autorzy wyrażają następujące przekonanie: "America has a far more far-reaching stake in the European war than the defeat of Hitler and Mussolini... **the goal we propose is to create a new Europe**". Raport o Europie jest przez to znamienny, że zmagają się w nim elementy światopoglądu idealistycznego z założeniami polityki realnej. Autorzy nie przełamali tego konfliktu, przez co obraz "nowej Europy", który dali w raporcie, bezskutecznie kłóci się z twardą rzeczywistością. "Europeizacja Europy" jest jedynie werbalną ucieczką od tej rzeczywistości. Rezultatem tej postawy są zwłaszcza sformułowania zawarte w części V (Germany: A Special Problem), którym poświęcone są poniższe uwagi.

Redakcja "Tygodnika Polskiego".

* * *

I. Jeżeli słuszną jest teza, że pokój świata powinien być niepodzielny, to niemniej istotnym jest stwierdzenie, że gospodarstwo świata powinno być niepodzielną całością. Traktowanie kontynentu europejskiego jako jedności może mieć znaczenie tylko metodologiczne, nie może jednak stanowić celu ani w rozumieniu gospodarczym ani politycznym. Kontynent ten nie jest ani mniej ani więcej jednością ekonomiczną, niż jakikolwiek inny zróżniczkowany kontynent. Jedność gospodarcza kontynentu europejskiego może być poszukiwaną tylko w ramach i na zasadach **gospodarczej jedności świata.** Oderwane od związków światowych założenie jedności kontynentalnej ma charakter fikcyjny i wypływające z tego założenia postulaty nie odpowiadają rzeczywistemu układowi sił, ani rzeczywistym tendencjom rozwojowym.

II. Osiągnięta przez Hitlera "jedność" kontynentu jest jednością obowiązującą w obozie koncentracyjnym. Nie może ona stanowić wątku myśli ani pierwowzoru organizacji europejskiej. Absurdalnem byłoby założenie, że proponowana Rada Europejska miałaby stanąć na gruncie faktów stworzonych przez Hitlera. A jednak trudno oprzeć się takiemu wrażeniu, gdy notujemy kolejne dwa postulaty raportu "Fortune": "We ask Europe as nations to merge their policies only toward each other, not toward the rest of the world". Stosunki Europy kontynentalnej jako takiej, z pozostałym światem byłyby administrowane jednak nie przez poszczególne narody na gruncie ich indywidualnych warunków, potrzeb i stopnia rozwoju gospodarczego, lecz przez **Europejską Komisję Taryfową** według następującej zasady: "If any country offers free trade to all of Europe, Europe should reciprocate as a unit." Oba elementy tej tezy są fikcyjne: nikt nie może zaofiarować traktatu handlowego całej Europie, ani cała Europa nie może odpowiedzieć jednym traktatem.

III. Produkcja Europy nie jest bowiem europejską, jak i konsumpcja tego obszaru nie jest europejską. Oba te procesy są ogólno-światowe: stanowiąc 17% zaludnienia świata i 4% powierzchni ziemi, kontynent europejski uczestniczy (1938 r.) w obrotach handlowych świata — w imporcie 37.8%, w eksporcie 36.8%. Niemal 2/5 światowej wymiany towarowej przypada więc na niespełna 1/5 światowego zaludnienia. Mylne jednak byłoby mniemanie że jest to zjawisko wspólne dla całego kontynentu. Na dziewięć krajów Europy uprzemysłowionej z ludnością 203 milionów przypada 29% i 28.2% ogólno-światowego importu i eksportu, gdy dla pozostałych 16 krajów nieuprzemysłowionych z ludnością 159 milionów odnośne udziały wynoszą tylko 8.8% i 8.6%. Cała heterogeniczność i **dysproporcja w potencjałach gospodarczych** różnych części Europy występuje plastycznie w tych cyfrach.

IV. Kontynent ten nie jest samowystarczalny ani w produkcji żywnościowej ani w surowcach przemysłowych. Jest on jaknajmocniej związany z gospodarstwem pozostałego świata. Jednak mylnem byłoby mniemać, że stopień tego związania jest równy dla wszystkich krajów kontynentu. W istocie rzeczy pozycje dwóch wyraźnie odcinających się obszarów Europy są wręcz przeciwne. W imporcie Europy przemysłowej żywność oraz surowce i półfabrykaty stanowią (r. 1937) 77%, zaś gotowe wyroby 23%, gdy odnośne cyfry dla Europy nieuprzemysłowionej są 52% i 48%; Europa przemysłowa eksportuje natomiast tylko 37% żywności i surowców, zaś 63% wyrobów gotowych, gdy ta druga Europa eksportuje 82% żywności i surowców i tylko 18% wyrobów gotowych. Gdy około 2/5 wszystkich obrotów towarowych kontynentu przypada na handel poza-kontynentalny, jasnem jest, że stopień **związania gospodarczego obu obszarów Europy światem jest bardzo różny.** Na gruncie tych faktów "zgleichszaltowanie" stosunków Europy z resztą świata nie znajduje żadnego uzasadnienia.

V. Elementem, który miałby — według koncepcji raportu — za zadanie scementować jedność ekonomiczną kontynentu europejskiego jest **postulat wzmożenia wymiany intrakontynentalnej.** Czy jest to możliwe? W r. 1938 intra-kontynentalny handel Europy wyniósł w imporcie 52% i w eksporcie 57%. To znaczy że bezmała połowa obrotów przypadała na handel pozakontynentalny. Jest to zrozumiałe wobec faktu, że kontynent nie jest zdolny ani się wyżywić z własnej produkcji rolnej ani zaopatrzyć swoich przemysłów w surowce z własnych źródeł. Każde więc wzmożenie handlu intra-kontynentalnego oznacza z konieczności wzmożenie importu poza-kontynalnego, który może być osiągnięty tylko w drodze spotęgowania eksportu poza kontynent. Proces ten uzależniony jest decydująco od otwarcia dla produktów europejskich rynków światowych bez ograniczeń i bez przeszkód protekcjonistycznych, prohibicyjnych lub administracyjnych ze strony wielkich krajów wierzycielskich przedewszystkiem.

VI. Pod tym kątem widzenia postulat likwidacji przedwojennego protekcjonizmu europejskiego nie znajduje uzasadnienia w rzeczywistości. Protekcjonizm nie był specyficznym zjawiskiem europejskim. Co więcej, kontynent europejski — z wysoce ważnym wyjątkiem Rzeszy — jako obszar dłużniczy był raczej **ofiarą protekcjonizmu poza-kontynentalnego.** Nie należy zamykać oczu na fakt, że kraje Imperjum Brytyjskiego, Stany Zjednoczone, Japonja, Ameryka Łacińska oraz liberalne mocarstwa handlowe kontynentu europejskiego (Francja, Belgja, Holandja oraz ich posiadłości) mają w swoim ręku 68% ogólnej światowej wymiany handlowej. Protekcjonizm mniejszych narodów nie ma poważniejszego wpływu na zakłócenie międzynarodowej współpracy gospodarczej. Natomiast zmiany polityki taryfowej któregokolwiek z wielkich mocarstw handlujących mają siłę determinowania całej aktywności handlowej świata. To też lekkomyślne posądzanie mniejszych narodów o utrudnianie tej współpracy jest całkowitem zapoznaniem rzeczywistości i raczej instrumentem propagandy za ideologią wielkich bloków niż rzetelną troską o swobodnie rozwijającą się wymianę handlową.

Uwagi do raportu "Fortune": Tezy gospodarcze i zagadnienie gospodarczego rozbrojenia Niemiec.

VII. Ta wymiana międzynarodowa jako najwyższy cel pokojowej organizacji dobrobytu nie jest do osiągnięcia w drodze ignorowania odrębnych właściwości poszczególnych krajów i stapiania ich w całość totalnie i imperialistycznie dyrygowaną. Różny stopień i poziom indywidualnego rozwoju produkcyjnego i konsumpcyjnego poszczególnych krajów stwarza odrębne potrzeby a zatem i odmienny stosunek do pozostałego świata. Nawet w granicach poszczególnych grup — Europy przemysłowej i nieuprzemysłowionej — różnice te występują bardzo wyraźnie. Dopóki te rażące różnice będą istniały, jedność gospodarcza kontynentu pozostanie nierealnem życzeniem. Jedyną możliwą drogą do jej zrealizowania byłoby wyrównanie potencjałów gospodarczych na obszarze europejskim, co w praktyce oznacza **podniesienie sprawności gospodarczej i technicznej narodów gospodarczo zacofanych kosztem potencjału niemieckiego.** Gdy na obszarze uprzemysłowionym znajdujemy nikłą presję demograficzną na jednostce użytków rolnych, bogate wyposażenie w dobra kapitałowe, silną kapitalizację, pracę wysokocenną i specjalizowaną — Europa nieuprzemysłowiona cechuje się silnem przeludnieniem na użytkach rolnych, nikłem wyposażeniem w środki produkcyjne, małą kapitalizacją, niskocennym rodzajem pracy. W krajach uprzemysłowionych tylko 15.9% ludności jest aktywnie zatrudnionych w rolnictwie, gdy w pozostałych odsetek ten wynosi 35.2%. Znakomicie scharakteryzował tak głęboko sięgający podział Francis Delaisi, gdy pisał: Europa przemysłowa jest uprzemysłowioną aż do rolnictwa włącznie, Europa rolnicza jest agrarną aż do przemysłu włącznie. Przedwojenne koncepcje wielkoblokowe w Europie wyraźnie dążyły do eksploatacji tych różnic na rzecz utrwalenia bezbronności gospodarczej i politycznej narodów zacofanych (Mittel-Europa Naumanna, Rand Europa i Kern-Europa Webera). Dzisiejsze koncepcje wielkoblokowe, ignorujące różnice strukturalne, nie mogą osiągnąć innego celu, niż takie same koncepcje lansowane przed wojną, zwłaszcza przez Niemców. Tak czy inaczej, tak pojęta jedność kontynentu ma wszystkie szanse aby stać się jednością niemiecką. **Koncepcja europejskiej jedności prowadzi nie tyle do zeuropeizowania Niemiec, ile do zniemczenia Europy.** Być może — byłaby to rzetelna wizja nowej Europy — synonimu czwartej Rzeszy. — Gdyby jednak ten eksperyment miał się załamać, najprawdopodobniej na gruzach tak pojętej jedności kontynentu, którego osobowości narodowe zostały poświęcone molochowi "zglajchszaltowania", dojrzałaby niezmiernie kontrola autarkizmu rosyjskiego.

VIII Bezwątpienia centralnym problemem każdej takiej koncepcji Europy gospodarczej jest Rzesza niemiecka. Ta rzesza przedmonachijska liczyła wprawdzie niespełna 1/5 część zaludnienia kontynentu (18.6%), jednak olbrzymia koncentracja środków produkcyjnych, jedyna w świecie całkowita samowystarczalność maszynowa (98.5% zaopatrzenia w r. 1936), brutalna ekspansja na obszary gospodarczo słabsze i wyjątkowa zdolność regeneracyjna jej militaryzmu dały jej wyjątkową pozycję: **każda wojna niemiecka musi być wojną światową.** To też bez względu na to, jaki status legalny przejęłaby jedność kontynentu, ciężar niepomniejszonego potencjału niemieckiego zadecyduje o charakterze i treści tej hypotetycznej jedności. Co więcej, bez względu na to, czy kontrola kontynentu przyjęłaby formy administracji mandatowej, czy kolonialnej, w ramach t. zw. jedności kontynentalnej waga niepomniejszonego potencjału niemieckiego utrzymałaby Rzeszę w pozycji najbardziej uprzywilejowanej. Tak pojęta kontrola stwarza bowiem dla kontrolerów nietylko prawa lecz również obowiązki i zobowiązania. Jeżeli w centrum problemu europejskiego najbardziej zapalnym punktem jest niebezpieczeństwo niemieckie, to logicznie stosunek kontrolerów do Niemiec będzie nieomylnym zwiastunem przyszłych losów kontynentu. Niepodobna ujść konkluzji, że **stosunek pozytywny do niemieckiego potencjału gospodarczego musi okazać się w skutkach stosunkiem negatywnym do reszty kontynentu i odwrotnie.** Kryterjum tej podstawy mieści się już dziś w zagadnieniach: reparacji i rozbrojenia Rzeszy.

IX W odróżnieniu od odszkodowań (indemnities) pojęcie reparacji jest o wiele bardziej obszerne i zawiera w sobie implicite program rekonstrukcyjny i strukturalny, którego wyniki określą przyszłość nietylko kontynentu, lecz świata wogóle. Pomijając odszkodowanie w złocie, którego Rzesza nie posiada, bądź podaje, że nie posiada, inne formy odszkodowań sięgają głęboko w życie każdego kraju. Do tych możliwych form należą: użycie niemieckich sił roboczych w krajach zdewastowanych, zaopatrywanie przez Rzeszę narodów wyniszczonych w artykuły przemysłowe użytkowe, dostawy dóbr kapitałowych. Odnośnie sił roboczych, nie należy zamykać oczu, że we wszystkich krajach zdewastowanych mimo wielkie straty demograficzne wystąpią silne objawy przeludnienia w postaci bezrobocia. Przeludnienie to jest naturalnym wynikiem procesu, w którym dewastacja kapitału dokonała się o wiele szybciej i mocniej, aniżeli straty demograficzne, bezpośrednie i pośrednie. **Względne przeludnienie jest bowiem funkcją wynikającą ze stosunku presji ludności do poziomu wyposażenia kapitałowego.** W tych warunkach jest rzeczą mało prawdopodobną, aby jakikolwiek kraj mógł zgodzić się na import rąk roboczych bez obawy spotęgowania bezrobocia. Raczej należy przewidywać, że wszystkie rządy europejskie będą musiały dla własnych obywateli uruchomić szeroko zakreślone roboty publiczne i wytężyć siły, aby dać swoim obywatelom podstawy egzystencji. Ani względy moralne, ani polityczne, ani wreszcie gospodarcze nie potwierdzą supozycji zatrudnienia Niemców na terenach zniszczonych.

X. Gdy proponowany eksport niemieckich sił roboczych ma jednak raczej charakter fragmentaryczny — to oparcie odszkodowań na wykorzystaniu potężnego aparatu produkcyjnego Rzeszy wpłynąć musi decydująco na strukturę kontynentu europejskiego. Wydaje się, że to zagadnienie traktowane jest z wyjątkową jednostronnością, niepomne doświadczeń antraktu po-wersalskiego. Czem byłoby w praktyce to wykorzystanie? Oznaczałoby ono dla zwycięskich narodów wielostronne obowiązki: narody te musiałyby zmobilizować olbrzymie kapitały niezbędne do rekonstrukcji przemysłu niemieckiego i przestawienia jego aparatu na produkcję pokojową; w istocie rzeczy byłoby to odszko**dowanie dla Niemców za zużycie ich aparatu produkcyjnego dla celów wojny** i za szkody i straty, poniesione przez nich wskutek bombardowań. Aparat ten musiałby być przez zwycięzców zaopatrzony w konieczne surowce i półfabrykaty i wreszcie byłoby obowiązkiem zwycięzców nieograniczone niemal otwarcie dla tej produkcji wystarczających odpłatnych rynków zbytu. Byłyby one tem konieczniejsze, że w tej samej koncepcji mieści się postulat deagraryzacji Rzeszy; t. zn. że dla wyżywienia i odziania ludności tego kraju eksport odpłatny produktów przemysłowych Niemiec musiałby być większy, niż w okresie największego dobrobytu, a mianowicie większy o współczynnik spotęgowanego importu surowców, półfabrykatów i środków żywności. Na gruncie tak pojętych odszkodowań aparat produkcyjny niemiecki musiałby być rozbudowany do rozmiarów nieznanych w historji Niemiec i na warunkach tak wyjątkowych i uprzywilejowanych, o jakich Niemcy nie mogliby śnić bez klęski. Klęska dopiero stałaby się źródłem błogosławieństwa i dobrobytu Niemiec. Czy byłaby jednak takimże błogosławieństwem dla kontynentu — a to znaczy dla świata? Czy nie należy raczej obawiać się, że ten proces wzmożenia produkcji niemieckiej do najwyższej potęgi byłby przygotowaniem trzeciej największej wojny światowej tak jak identyczny stosunek świata do Niemców przygotował drugą większą wojnę światową po klęsce niemieckiej w pierwszej małej wojnie światowej?

XI. Odpowiedzi szukać należy w doświadczeniu historycznym. Ta sama troska o zachowanie potencjału niemieckiego, o zapewnienie ludności niemieckiej możliwie najwyższego standardu życiowego zdecydowała, że kapitały i inwestycje wszystkich krajów wierzycielskich świata popłynęły do Niemiec. Mimo klęski wojennej, szeregu rewolucyjek i manipulacji inflacyjnych **odrodzenie i wzmożenie zużytego aparatu produkcyjnego Rzeszy dokonało się z błyskawiczną szybkością.** Jakże inaczej byłoby możliwe, aby w niespełna dziesięć lat po przegranej wojnie i mimo rzekome ciśnienie t. zw. reparacji dochód narodowy niemiecki był wyższy na głowę, niż dochód pięciu uprzemysłowionych krajów Europy i dwa i pół razy większy, niż 16 krajów Europy nieuprzemysłowionej. (1). Jak inaczej byłoby możliwe aby jeszcze wcześniej, bo w r. 1927, zwycięzone Niemcy mogły w memorandum dla Konferencji w Stresie zademonstrować, że ich "konsumpcja" maszyn na głowę ludności wynosi prawie trzy razy tyle ile w Europie uprzemysłowionej i 30-60 razy więcej niż w Europie nieuprzemysłowionej łącznie z Rosją. Wynikające z afirmacji niemieckiego potencjału **błyskawiczne** odrodzenie niemieckiego przemysłu wyprzedziło tylko o dziesięć lat **błyskawiczną** wojnę niemiecką. Gdy 1 kwietnia 1935 r. Hitler zawiesił wypłatę zobowiązań zagranicznych, zużył tem samem kapitały i inwestycje obcokrajowe, powierzone Rzeszy w międzynarodowej trosce o "niemiecki standard życiowy" jako instrument zniszczenia świata. Samoloty, tanki i działa budowano w Rzeszy nie z masła, lecz z dobrych walut zagranicznych, pożyczonych dobrym Niemcom. Czy proces ten ma być powtórzony? Czy ponownie dogmat niezbędności niezmniejszonego niemieckiego potencjału produkcyjnego i konsumpcyjnego ma utorować drogę do odrodzenia niemieckiego militaryzmu?

XII Proponuje się kontrolę nad przemysłem niemieckim jako wszechskuteczny sposób zabezpieczenia trwałego pokoju. Niewiele obiecujących szans mieści się w tej koncepcji. Im silniejszą bowiem byłaby kontrola tego aparatu, tem silniejsze byłoby związanie Niemców ze światem. Im silniejsze to związanie, tem większe i rozleglejsze zobowiązania świata w stosunku do Niemiec. Im silniejsze te zobowiązania, tem większa dla Niemiec ilość szans konjunkturalnych zwolnienia się od kontroli. W tym (już raz dokonanym) procesie system reparacji, polegający na zachowaniu, ba nawet na rozwinięciu niemieckiego aparatu produkcyjnego dla celów odszkodowawczych, musi obrócić się w **mechanizm odszkodowań dla Niemców.**

XIII. Nie należy się łudzić, że tak pojęty system reparacji — zwłaszcza w ramach hipotetycznej jedności kontynentu — stworzy warunki wzniesienia się innych narodów na wyższy poziom sprawności gospodarczej. Gdy ponownie ruchy międzynarodowych kapitałów skierowane będą jednostronnie do Rzeszy, aby Niemcom umożliwić spłaty reparacyjne, szanse zwolnienia Europy z pod presji niemieckiej staną się równe zeru. Od właściwego więc ujęcia reparacji zależy w pierwszej linji **możność wyrównania poziomów gospodarczych innych narodów z Niemcami.** Od tego wyrównania w wyższym stopniu zależy pokój, niż od najlepiej pomyślanego systemu legalnego.

XIV. W sensie "europeizacji Niemiec" Niemcy płacić muszą swoim standardem życiowym, jednym z najwyższych na kontynencie europejskim. Czy chcemy, czy nie, jest nie do pomyślenia, aby naród płacący odszkodowania mógł w normalnie działającym mechaniźmie gospodarczym zachować lub nawet wznieść wyżej swój poziom życiowy. Być może, że taką wizją uda się chwilowo kupić dusze Niemców ale napewne nie przekupi się rzeczywistości. Istota problemu nie tkwi wyłącznie w postulacie rozbrojenia gospodarczego Niemiec, lecz w postulacie **synchronicznego uzbrojenia gospodarczego innych narodów europejskich.** Obniżenie standardu życiowego niemieckiego musi więc oznaczać podwyższenie standardu życiowego narodów gospodarczo zacofanych. Problem sił produkcyjnych i konsumpcyjnych 70 miljonów — a w ciągu najbliższych dwóch generacji nawet nie 50 miljonów — Niemców musi być rozważany pod kątem **zużytkowania wielkich sił biologicznych, produkcyjnych i konsumpcyjnych kilku setek miljonów Europejczyków.** Dla dobrobytu świata żadne z tego przesunięcia potencjałów szkody nie wynikną. Natomiast to wyrównanie poziomów — jako cel idealny — może jedynie stworzyć warunki gospodarcze, polityczne i psychologiczne dla **trwałego pokoju rządzącego się skutecznie działającym systemem zbiorowego bezpieczeństwa.** Tylko na gruncie zbiorowego bezpieczeństwa z porzuceniem wszelkiej polityki siły jest do pomyślenia realizacja celów demokracji: wolność, rządy przez naród i prawa narodów. Miejsce koncepcji i jedności kontynentalnej czy jedności regjonalnych zająć winno przedewszystkiem **poczucie jedności świata.** Da ono podstawę do planowego i celowego rozwoju inwestycji kapitałowych, stworzenia nowych źródeł zarobkowych dla miljonów dziś nieproduktywnych ludzi, podwyższenia ich standardu życiowego i ogólnoświatowej organizacji dobrobytu. Te cele — nie zaś organizowanie nowego systemu "power politics" — są godne olbrzymiego wysiłku, jaki podjęły Stany Zjednoczone.

(1) Rok 1929: Rzesza (w miljonach nowych złotych dolarów) 11.080 — Belgja, Francja, Holandja, Szwajcarja i Czechosłowacja 14.547; Bułgarja, Danja, Węgry, Norwegja, Polska, Rumunja, Szwecja i Jugosławja 10.657. Dochód narodowy Rzeszy per capita był 14% wyższy, niż w pierwszej grupie i o 241% wyższy, niż w drugiej.

HERMINJA NAGLEROWA

CHLEB

"Kirpicz," z którego budowano lepianki, wysychał i kruszył się od żaru słonecznego. W ścianie powstała więc szczelina, przez którą wpychało się światło. Z rana wyglądało to jak przejrzysta tafla. W miarę przybywania godzin dnia światło żółkło, pęczniało, stawało się ruchliwe od wirującego w nim pyłu. Jankowi wydawały się te iskierki pyłu podobne do małych muszek. Kiedy słońce przesuwało się na drugą ścianę domu, światło w szczelinie stawało się znowu nieruchomą taflą. Wraz ze zmierzchem tafla znikała.

Był to jakby zegar słoneczny Janka.

Matka ze starszym bratem Jędrkiem wychodziła o świcie do pracy w stepie. Zbierali się po ciemku, starając się zachować jak najciszej. Janek udawał że śpi, to też matka, nachylając się nad nim, mówiła uspokojona:

— Dobrze, że się nie obudził. Zdaje się, że dziś nie ma gorączki.

Janek słyszał, jak stawiała na ziemi obok jego posłania kubek z przegotowaną wodą. Słyszał nawet, jak lekko otarła się kromka chleba o brzeg kubka. Westchnienie matki zdawało się być tylko głębokim oddechem. Nie patrząc wiedział, że robi nad nim znak krzyża. Ale Jędrek naglił już prawie na głos:

— Chodźmy, bo dostaniemy najcięższe grabie.

Po wyjściu obojga, Janek natychmiast otwierał oczy. Przez kilka chwil patrzył w szare, mętne powietrze wypełniające izdebkę. To nie było zajmujące. Szczelina w ścianie ledwie zieleniała przedświtem.

— Niema jeszcze czwartej — stwierdzał Janek i znowu przymykał powieki nie żeby usnąć, tylko żeby sobie coś swojego wyobrazić.

Wyobrażenia brały się z byle czego. Czasem Janek wysnuwał je wprost z siebie samego a czasem jakieś słowo rozwijało się i mnożyło w obrazy. Jędrek powiedział: "grabie." I zaraz wyobraził się Jankowi jasny, słoneczny dzień w Kaniówce, gdzie spędzał raz wakacje u swojego przyjaciela Kazika. Byli właśnie na łące, na której ludzie grabili siano. Janek i Kazik leżeli pod kopicą. Zapach siana dymił jak kadzidło. Na blado błękitnem niebie płynęły obłoki srebrzone blaskiem słońca. Jaskółki latały nisko i skwir ich podobny był do zgrzytu noża po szkle.

—To na deszcze tak latają — powiedział Kazik. Janek spierał się, że deszczu nie będzie. Kazik nazwał go mieszczuchem. — Co takie "lwowskie dziecko" wie o tych sprawach! — Pokłócili się, zaperzyli na siebie, ale potem zgodnie poszli grabić siano. Grabie były ciężkie a kije sięgały ponad głowy chłopców.

Działo się to dawno, chyba ze dwa lata temu. Teraz Janek nie gniewał się już na przyjaciela. Pełen troski myślał: — Gdzie teraz jest Kazik? Może i jego tak samo wywieźli aż tu, do Kazachstanu? — Jędrek obliczył raz, że do Lwowa jest stąd więcej niż pięć tysięcy kilometrów. Pięć tysięcy to duża cyfra. Pięć tysięcy — to bardzo daleko.

Janek znał dobrze to dziwne uczucie, które zrazu tłucze się w sercu urywanym łomotem, aby następnie długo nękać żalem, który wszystko ogarnia i niczego nie dosięga. Uczucie to nazywa się —tęsknotą i jest bardzo podobne do głodu. którego nie ma czem nasycić.

Nie otwierając oczu, sięgnął Janek po chleb i wodę. Posilał się " na ślepo". Jadł powoli, odgryzając małe kęski. W ten sposób wydawało się, że chleba jest dużo. Można też było wmówić sobie, że chleb jest posmarowany masłem. Smak wody był mdły, ale na upartego można było wyobrazić sobie, że to nie woda, tylko herbata, kakao, mleko.

Zjadł całą porcję chleba i wypił cały kubek wody. Powinien był podzielić, żeby trochę teraz zjeść, a trochę zostawić na później. Matka zawsze nakazywała: — Nie odrazu, Janku, bo przez cały dzień będziesz głodny. — Ale czy to nie wszystko jedno? I teraz po tem śniadaniu, był głodny. Zupę jaglaną albo jęczmienną ugotuje matka dopiero wieczorem, kiedy przyjdzie z pracy, wolałby kaszę na gęsto, kopiato nałożoną na talerz.

Myślenie o tem było dokuczliwe i w jakiś sposób obrażało. Jędrek, który nie dobierał słów, powiedział raz: — Ciągle tu człowiek tylko myśli o żarciu. — A matka martwiła się: — Czem ja was nakarmię? Janek taki chudy. Malarja go zjada. Jędrek rośnie i ciężko pracuje. — I matka myślała ciągle o "żarciu," bo w worku było kaszy już tylko na dnie. Mały chlebek dzieliła sprawiedliwie na trzy porcje, wycinając nożem figurę podobną do "Y". Jej spracowane, opalone ręce były tak bronzowe jak skórka chleba. Żyły na rękach także przypominały literę "Y". Jędrek tylko udawał, że nie patrzył łapczywie na chleb. Czasem mówiła matka: — Zjedz, Jędrku, bo ja jakoś nie mam apetytu. — Jędrek ociągał się, nie chciał, ale na ostatku zjadał. Janek nie byłby się nikomu przyznał do tego, że patrząc na Jędrka zjadającego dodatkową porcję, przestawał go na moment lubić.

Matka mówiła wtedy ni stąd ni zowąd: — Gdyby nie Jędrek, nie dałabym sobie rady. — I tak było naprawdę. Zaradny, mocny, zdrowy, potrafił Jędrek wszystko zrobić. Stołek zmajstrował z deseczek, które skądś wydostał, na dworze ułożył z kamieni kuchnię, w stepie zbierał suche badyle do palenia, z "aryku" płynącego o pół kilometra stąd przynosił wodę. A raz przyniósł Jankowi kawałek cukru

Janek niespostrzeżnie znowu zaczął myśleć o tem, że zjadłby dużo cukru i cały bochenek chleba. Gdyby tak na dzień każdemu po bochenku, możeby starczyło, może nie byliby głodni. Nie raz, jak mu głód już bardzo dokuczył, połykał proszek chininy razem z papierkiem. Robił to tak: zanurzał papierek w wodę, potem skręcał w kulkę, a jak kulka zatrzymywała się w przełyku, zapijał wodą. Nie czuł wtedy gorzkiego smaku proszka i miał uczucie że trochę się pozbył czczości w żołądku. Ale chininy nie dostawał już od dłuższego czasu od "medsiestry." Już wogóle nie przychodziła do Janka. Kiedy była ostatni raz, poradziła mu, żeby sam z siebie wyzdrowiał.

Jędrek wybrał się więc po chininę do miasteczka, które było odległe o 30 klm. i tylko stracił dwa "trudodni," bo lekarstwa nie dostał w aptece. — Niema i już nie będzie — powiedział aptekarz. Jędrek oświadczył wtedy Jankowi ponurym głosem: — Postaraj się wyzdrowieć, bo przecież na zawsze tu nie zostaniemy. — Janek doskonale rozumiał Jędrka. Bo, żeby nie wiedzieć co, wrócą do Polski, do Lwowa i znowu mieszkać będą w tem samem mieszkaniu przy ulicy Nabielaka. Będą tak samo grać w piłkę albo w "kiczkę" na placu. I wszystko będzie tak, jak było. Bo tamto istnieje naprawdę, a to tutaj — śni się tylko. Tamto czeka na przebudzenie się, na otwarcie oczu.

Janek otworzył więc oczy, ale "tamto" przestało nawet snuć się w wyobrażeniu, bo oczy dojrzały szare ściany lepianki i wsuniętą przez szczelinę taflę światła słonecznego.

— Siódma — powiedział Janek głośno.

W stepie zaryczał płaczliwie osiołek, kogut zapiał gdzieś blisko. Zaraz też usłyszał Janek człapiące kroki starej Kazaczki, do której należał osiołek, kogut i lepianka. Z początku, kiedy wynajęli tę izdebkę, Janek bał się czarnej staruchy. Ale z czasem przyzwyczaił się do jej płaskiej twarzy i do chrapliwego brzmienia jej głosu. Wchodząc, siadała odrazu na progu. Wyglądała wtedy jak na obrazie w tym swoim szafirowym, spłowiałym chałacie i w białej chusteczce na głowie. Futryny drzwi były niby ramą, zamykającą płaski krajobraz — step popielaty, chropawy od wyschłych ostów, ścielący się daleko aż do podnóża "sopek." Jędrek mówił, że te niskie pagórki są odnogami gór Ałtajskich. Sopki rysowały się falistą linją pod niebem ciemno błękitnym.

Kazaczka mówiła tylko trzy zrozumiałe wyrazy: chleb, lepioszki, pierożki Brzmiało to jak wiersz. Niekiedy śpiewała jakąś melodję, podobną do lamentu. A potem znowu: chleb, pierożki lepioszki... Na jej chudej, pomarszczonej szyi widać było wyraźnie ruch przełykania śliny. Janek mimo woli tak samo łykał ślinę. Czasem dawała mu Kazaczka garść ziarnek słonecznika, uśmiechając się przy tem porozumiewawczo. A raz przyniosła mu cały słonecznik z żółtymi listkami kwiatu i z meszkiem żółtych pręcików na tarczy środka. Wyglądało to ładnie, ale ziarnka, białe jeszcze i puste, nie były jadalne.

I dziś weszła Kazaczka do izby, aby powiedzieć to samo: chleb, lepioszki pierożki. Potem prześpiewała swój lament i odeszła. Dzień dłużył się Jankowi. Mógłby wprawdzie poczytać trochę w czytance "Dawniej i dziś," nie wolno mu jednak było wyjmować jej z walizki zamkniętej na klucz. Od czasu do czasu przychodził bowiem "predsiedatiel," aby szperać po wszystkich kątach.

Oto właśnie stanął w drzwiach, wysoki, mocno ściśnięty w pasie rzemieniem. Kaszkiet miał zsunięty od czoła tak, że czarny kędziorek w kształcie obwarzanka wysuwał się z pod daszka. Buty predsiedatiela były jak zawsze zakurzone. Od razu dostrzegł na skrzynce zapałki i zapalił papierosa skręconego z papieru gazetowego. Pociągnąwszy kilka razy, dmuchnął dymem na izbę. Poczem przemówił gniewliwie: — Dlaczego się wylegujesz, dlaczego nie w step na robotę? — Podszedłszy blisko do posłania Janka, krzyknął: — dowaj wstawać! i ściągnął z Janka koc.

Janek wiedział wprawdzie, że jest chudy, ale dopiero teraz, kiedy i predsiedatiel widział jego nogi cienkie i sine, wystające kolana i kości biodrowe, doznał uczucia rozpaczy i wstydu. Leżąc na ziemi, na tem swojem posłaniu, które właściwie było barłogiem, nie potrafił opanować tych uczuć, które, mieszając się z sobą, zamieniły się w złość.

— Nie odkrywaj! — krzyknął.

Predsiedatiel splunął na bok i lekceważąco machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: — Nic już z ciebie nie będzie.

Janek krzyczał bez opamiętania — Będę zdrowy, będę silny! Piechotą pójdę do Polski...

Urwał, bo czuł, że zaraz się rozpłacze. Naciągnął więc tylko koc na głowę, i tak predsiedatiel wyszedł z izby. Pod kocem leżał jak martwy. Nie słyszał nawet, kiedy w ciemnicy odrazu się uspokoił. Długi czas robiło mu się coraz bardziej duszno. — Mam gorączkę — przeraził się. Byle tylko nie zaczęło go trząść! Taka głupia choroba, że trzęsie, że zęby dzwonią. A po ataku serce takie cichutkie i omdlałe. Wtedy niema się już żadnych pragnień i wtedy, gdyby przyszła ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso...

Janek odrzucił koc z twarzy. Predsiedatiel wychodząc zamknął za sobą drzwi. W izbie było więc tak samo duszno. W południe rozgrzewała się lepianka i wtedy zaczynało Jankowi dokuczać pragnienie. Nieraz zastanawiał się nad tem, co trudniej znieść: głód czy pragnienie. Ale lepiej było nie zagłębiać się zbytnio w te rozważania, bo wtedy zdawało się, że wysychanie śliny, że skręcanie się jelit i kurczenie żołądka jest nie do zniesienia. Należy raczej mieć silną wolę i wyobrazić sobie, że jest się wędrowcem w pustyni. Janek czytał raz w jakiejś zajmującej książce, że pewien wędrowiec przez kilka dni nie pił wody. I wytrzymał. W książce tej było także o zjawisku w pustyni — fata morgana. — Przydałoby się i tu takie zjawisko. Dobrze byłoby choć przez godzinę łudzić się, że "zbliża się zbawienie". Bo tak właśnie było w tej książce napisane: "zbliża się zbawienie".

Janek przypomniał sobie, że ma tu przecież takie zbawienie, nawet wcale nie ułudne, tylko rzeczywiste. Było to pudełko ze skarbami. Ilekroć zaglądał do pudełka, zapominał o nękającym go głodzie. Przechowywał bowiem w pudełeczku srebrną dwuzłotówkę, guzik z orzełkiem, kolorowe ołówki, muszelki uzbierane w piasku na Helu i kalendarzyk uczniowski. W kalendarzyku — mapa Polski, cała Polska i skrawki sąsiadujących z nią krajów. Była więc Rumunja, dokąd jeszcze w ubiegłym roku poszedł ojciec Janka. Była i Rosja, do której jechali w wagonie towarowym. Przez miesiąc jechali do tego Kazachstanu, którego jednak nie było na mapie, bo to już Azja. Janek nie umiał wtedy pojąć wielu rzeczy i nie był jeszcze przyzwyczajony do głodu, żalił się, nawet płakał. Bo już w wagonie zaczęło się z tym głodem, z tem wydzielaniem chleba, którego na końcu podróży wreszcie zabrakło. W wagonie umarło dwoje dzieci i jeden starszy pan. Z głodu.

Mały kalendarzyk w zielonej ceratowej okładce zawierał jednak prócz mapy także czas miniony i czas przyszły. Do 1 września 1940-go roku. Był przecież kalendarzyk szkolny na rok 1939/40. Niektóre dnie były podkreślone ołówkiem na znak, że coś ważnego w tych dniach się stało. Więc właśnie 1 września 1939 jako dzień wybuchu wojny. 22 września — wejście czerwonej armji do Lwowa. 10 stycznia — ojciec poszedł z domu, aby przejść granicę. 13 kwietnia — wywiezienie do Rosji. 10 maja — przyjazd do Kazachstanu, w step. A teraz był już czerwiec. "Czerwiec ma trzydzieści dni" — czytał Janek. W czerwcu — imieniny Janka. Pojutrze.

— To nie ma tutaj znaczenia — skarcił się Janek, bo już zaczynał marzyć, jak to zwykł czynić i ubiegłego roku i przez te wszystkie lata wstecz. Zawsze wolno mu było przed imieninami "coś sobie wymarzyć" i czegoś "pragnąć". Powierzał te pragnienia rodzicom i jeżeli nie były zbyt dziwaczne, spełniały się w formie upominków imieninowych.

Janek uśmiechnął się żałośnie i jeszcze raz powtórzył: — To nie ma tutaj znaczenia. — Ale gdyby tak matka zapytała: — Co ci kupić na imieniny? — Nie zapyta, ale gdyby... Janek odrazu "wymarzył" sobie i odrazu wiedział, czego "pragnie". Oto, żeby raz jeden, w dzień swoich imienin mieć cały bochenek chleba dla siebie! Raz jeden!

Pomyślawszy o tem, zawstydził się, że już nic innego nie pragnie, że właśnie tak, jak mówił Jędrek — o niczem innem, tylko o jedzeniu.. Nic jednak nie mógł na to poradzić, że nawet skarby w pudełeczku nie odwiodły go dziś od tej natrętnej myśli. W istocie były jak owa fata morgana, która łudząc, nie zapobiega cierpieniu wędrowca.

Głód nietylko ściągał żołądek ale rozchodził się po całem ciele mrowiącem u-

"WHY FOOL OURSELVES ABOUT STALIN"

Opinje New York Time's nader rzadko wynikają z emocji lub zniecierpliwienia. Sztab redakcyjny tej instytucji, który zbiera się na sesje w olbrzymiej bibliotece, zwanej Vaults "kaplicą", troskliwie i z namysłem waży każdą myśl, ba, każde zdanie artykułów, przeznaczonych na publicystyczną kolumnę pisma. Tem większe poruszenie wywołać musiał wśród czytelników New York Times' artykuł z dnia 21go września br. p. t. Krytycyzm Rosji, a zwłaszcza następujące zdanie tego artykułu:

"Jest rzeczą, zaiste dziwną, gdy rzecznik totalistycznego państwa udziela Anglji i Ameryce lekcji o zasadach demokracji."

Tym "rzecznikiem totalistycznego państwa" jest sowieckie pismo "Wojna i klasy pracujące," które w jednym z ostatnich numerów wysunęło tezę, że anglo-amerykańskie władze okupacyjne, czyli t. zw. "Amgot" "jest sprzeczny z zasadami demokracji."

W tych warunkach jasną jest rzeczą, że nawet tak ostrożne i powściągliwe pismo jak New York Times nie mogło powstrzymać się od wyrazu zdziwienia, w którym akcent ironji maskuje tylko uzasadnione oburzenie. A ponieważ — jak to New York Times słusznie stwierdza — "rosyjska prasa jest po prostu wyrazem rządu" —więc uwaga pisma dotyczy w rzeczywistości oficjalnej polityki sowieckiej.

Znowu więc i nie po raz pierwszy propaganda sowiecka przeciągnęła strunę. Długi okres zupełnej bezkarności w uprawianiu najbardziej zakłamanych kampanij pozbawił Moskwę wszelkiej miary. Bo przyznać należy, że w okresie ostatnich dwu lat dość poważna część opinji amerykańskiej ulegała magji propagandy sowieckiej.

Przyczyny tego zjawiska nie są zbyt skomplikowane. Oto agentom sowieckim udało się zaszczepić w części opinji amerykańskiej fikcyjną teorję o t. zw. Trzeciej Rosji. Teorja ta głosi, że w Rosji dokonują się obecnie zasadnicze zmiany w duchu demokratycznym. Niedawno zmarły, wybitny uczony z Chicago, prof. Harper, twierdził wręcz, że Rosja sowiecka nie jest już obecnie ani komunistycznym ani imperjalistycznym krajem i znajduje się na drodze ku prawdziwej demokracji. Podobne zdania wypowiadali również niektórzy z czołowych przedstawicieli kościołów protestanckich w U. S. A.

Rozpowszechnieniu się tego poglądu dopomogły w wysokim stopniu dwa względy. Po pierwsze, świetnie przez propagandę sowiecką wyzyskane zwycięstwa armji czerwonej, a zwłaszcza obrona Stalingradu, a po drugie moda na t. zw. realizm polityczny, który widzi w Rosji jeden z najpoważniejszych filarów powojennej "policji pokojowej" w świecie. Fakty te stworzyły w U. S. A. specjalny klimat bezkrytycznego podziwu.

Gruntowna zmiana i rewizja tych nastrojów zaczęła się dopiero niedawno i to przede wszystkim dzięki temu, iż Moskwa, istotnie nie zna.... miary

Bomba pękła gdy w lipcu b. r. na łamy prasy światowej weszła sprawa "komitetu" niemieckiego w Rosji. Jak wiadomo t. zw. Narodowy Komitet Wolnych Niemców w Moskwie ogłosił manifest, w którym stwierdza, że walczy jedynie z Hitlerem i nazizmem, a nie z narodem i armją niemiecką. Dokładna analiza manifestu, przeprowadzona przez prasę amerykańską odsłoniła przed opinją U. S. A. fakt iż Moskwa, pod maską "komitetu" niemieckiego sformułowała Rzeszy trzy przyrzeczenia: (a) nierozbrajania Reichswehry, (b) poniechania obcej okupacji i (c) utrzymania integralności Rzeszy.

Manifest komitetu niemieckiego był więc w jaskrawem przeciwieństwie do zasad polityki wojennej U. S. A. i Wielkiej Brytanji. Kto nie chciał być głuchym i ślepym musiał zdać sobie sprawę, że oznacza on odrębną ofertę pokojową Sowietów dla Niemiec i że Sowiety dążą po prostu do tego, by po pokonaniu Niemiec wyzyskać okres wojny aljancko-japońskiej dla rozszerzenia własnych zdobyczy i wpływów.

"Manifest" zdjął bielmo z oczu wielu polityków amerykańskich. W opinji U. S. A. zarysowała się jaśniej wymowa takich faktów jak agresywny i prowokujący stosunek do Polski, jak intrygi Rosji przeciw gen. Draga-Michajłowiczowi, jak utrzymywanie przez Sowiety komunistycznej armji w Chinach, utrudniającej gen. Chiang-Kai-Czek walkę z Japonją, jak nieustanne kokietowanie przez Moskwę Japonji, jak wreszcie chroniczny "brak czasu" Stalina dla konferencji z Prezydentem Rooseveltem i Premjerem Churchillem.

I nie można było mówić w tej sprawie o jakimś chwilowym wyskoku, bo oto w dwa miesiące po ogłoszeniu "Manifestu" Moskwa — tym razem za pośrednictwem zorganizowanego przez Sowiety "Związku oficerów niemieckich" jeńców — proponuje Niemcom "honorowy pokój" i robi to na dzień przed mową Churchilla z dn. 21 września, w której Premjer Wielkiej Brytanji podtrzymuje postulat zniszczenia nie tylko nazizmu, ale i militarizmu niemieckiego.

Tego już i cierpliwym w rodzaju New York Times'a było za wiele. Nie moją rzeczą jest wymierzać w jakim stopniu prowokacyjne kroki Moskwy odbiły się na postanowieniach Konferencji w Quebec, na mowach Dewey'a i Hull'a. W każdym razie jednak pewną jest rzeczą, że w opinji amerykańskiej zarysował się i pogłębia krytycyzm w stosunku do polityki sowieckiej.

Jednym z charakterystycznych objawów tego krytycyzmu jest artykuł znanego pisarza W. H. Chamberlin'a, zamieszczony w numerze z dnia 18 września b. r. organu socjalistów amerykańskich "New Leader" p.t. "Why fool ourselves about Stalin?"

Odpowiadając na często w ostatnich czasach powtarzaną tezę, iż Rosja sowiecka nigdy nie złamała słowa ani umów "New Leader" pisze:

"In 1920 the Soviet Government recognized the independence of Georgia, a small country in the Caucasus which had a democratic socialist government. In 1921 the Red Army marched in and Georgia was duly transformed into an affiliated Soviet Republic."

"The Soviet Government repeatedly professed the greatest respect for the territorial integrity of China. But... the huge area of Outer Mongolia has been detached from China and added, in fact if not in name, to the Soviet Union.

"The Soviet Government, one of the first countries to sign the Kellog Pact, was also the first country to break it, by using armed force in its dispute with China over the Russian rights in the Chinese Eastern Railway in 1929. Litvinov earned much credit as an "angel of peace" among wooly-minded Western commentators by initiating and pressing through to conclusion treaties of non-aggression and neutrality with the Western neighbors of the Soviet Union, Finland, Latvia, Lithuania, Estonia, Poland. Stalin broke every one of these treaties that it was physically possible for him to break.

I dalej pisze "New Leader":

"It is high time that the blind assumption that anyone who opposes all but submission to Stalin's predatory imperialism is ipso facto a blind reactionary should be challenged... It is futile and childish to keep on trying to fool ourselves about Stalin's essential characteristics as a hard-boiled, ruthless, astute and utterly unscrupulous dictator whose road to power internally and externally has been strewn with broken promises."

Ze swej strony do słów tych nie mam nic do donania. (S.S.)

WÓDZ NACZELNY GENERAŁ SOSNKOWSKI

w otoczeniu swego sztabu. (drugi z lewej: szef sztabu Naczelnego Wodza gen. Kopański, za nim admirał Świrski, dowódca polskiej floty.)

CARL CARMER

FOREWORD TO TALES OF THE TATRAS

The editors of TYGODNIK POLSKI, Polish writers-in-exile, take great pride in printing the following foreword to TALES OF THE TATRAS, written by K. P. Tetmajer, our beloved minstrel of the people living at the Tatra Mountains.

Carl Carmer, one of America's foremost writers of folklore, is the President of the P. E. N. Club, holds a Phi Beta Kappa Key, and is a member of Psi Upsilon. Born in Cortland, New York, on December 15, 1893, he attended Hamilton College, Elmira College, and Harvard University. He has served as Professor of English at several leading colleges, and had editorial connections with magazines. Among his many publications, prose and verse, no one who has read them can ever forget **Stars Fell On Alabama, Listen For a Lonesome Drum, The Hurricane's Children,** and **The Hudson.**

* * *

The springs that feed the stream of a people's immagination are few and very clear. The numberless, nameless men and women who, without conscious artistry, make the songs and tales of a region are moved to expression by impulses as old as the history of local human habitation.

For a river sings a song which the boys and girls who wander its reaches will never forget, and a desert's awful humming is always in the ears of those who were born there even though they spend long years and die among the whispering grassy hills.

Work, too, feeds the mind with imaginings — the kind of work that the landscape breeds, whether it is the swinging of axes in the woods, the herding of cattle on treeless pastures, the digging of ditches to bring water to parched earth

And the daily happenstances of a people's life—the true dramas that are played only to the limited audience of a countryside take firm hold on the mind and live long after the players are only names on headstones.

The experiences I have listed above as spurs to the popular imagination are so all-inclusive that many a shrewd and ambitious charlatan would conceal them. He would, for his own aggrandizement, have those who follow him believe that a people living in a different part of the world is, through that very fact, strange and inexplicable and menacing. He would destroy anyone who denied this, anyone who tried to show that common experiences bind men together.

The man who put the tales and songs that are printed here into words of his own choosing was a victim of such a charlatan. His starved, lifeless, 75-year-old body was found among the ruins of Warsaw one pitilessly cold afternoon just before the dark year of 1941 was born.

But the death of the body of a poet never accomplishes all that the German charlatan, Adolph Hitler, beleives it will. If he were sane, by this time he would have learned his lesson, but his diseased mind still sticks to its old formula — that death puts an end to all things.

This book is ample refutation of the madman's logic. Once Kazimierz Przerwa-Tetmajer was a young poet to whom the people of Poland gave their whole-hearted affection. He returned their love when he grew older by setting down for them the tales and songs of the people of the Tatras, the mountains that towered above his birthplace in southern Poland.

The sky-reaching peaks of the Carpathians that lie between Slovakia and Poland had much to say to the sensitive, imaginitive boy who lived at their foot. Their moods are reflected in his recordings of the imaginitive flights of his own people.

We, Americans have our mountains, too, and we understand. We welcome these tales to our own fire-sides, for we know others like them that are the product of our love for our own hills and valleys.

Like the people of the Tatras, the Indians who lived among our Catskills long ago dreamed that the old moon disappears only to be cut up into more stars to decorate our mountain peaks. Like the Polish mountaineers who told Tetmajer the story of the fearful bear "He" we have our tale of "The Great Bear of Arkansas." We, too, can tell of lost loves, of bold outlaws, of great fights. Time and again we match tale for tale until, on having finished the reading of the book, we feel that we have had a happy, rich, friendly evening beside the leaping flames of an open fire.

This is a book that Americans can take to their hearts. And of all the tales in it perhaps that of Zwyrtala the Fiddler best sums up why this is so. For Zwyrtala died and went to Heaven and soon had the place so disorganized with his fiddling that the angel choir was singing wicked fiddle tunes rather too well. The only solution was for the Management to send him back down the Milky Way into the heart of the Tatras where he is still fiddling.

That is the possibility the German charlatan always forgets. He has murdered millions of Poles but the fiddling of Zwyrtala still mocks him, the tales of the starved Tetmajer still prove him a fool. We Americans know this and are happy that it is so. Our country has its fiddlers and poets, too.

TALES OF THE TATRAS by K. P. Tetmajer, with a Foreword by Carl Carmer. Illustrated by Miss J. Konarska and Miss T. Zarnower. $2.50
To be published by ROY PUBLISHERS, 25 West 45th Street, New York City.

CARL CARMER

WITOLD LEITGEBER

"KORESPONDENT WOJENNY MELDUJE SIĘ"

Brytyjczycy na miejsce wiecznego spoczynku dla swoich wielkich żołnierzy wybrali katedrę św. Pawła, leżącą na linji głównego nerwowego pasma Londynu, wiodącego od urzędowego "Whitehallu" poprzez "Justice Court" i prasową Fleet Street do centrum finansów i businessu w "City." W katedrze tej spoczęli m. in. Nelson, Wellington, Kitchener. W tej samej świątyni — obok wielkich wodzów — uznano za stosowne uczcić także wielkich brytyjskich korespondentów wojennych. W krypcie katedry parę kroków od grobu Wellingtona znajduje się "zakątek dziennikarzy" — "Journalist's Corner", gdzie pamiątkowe tablice sławią "pierwszego i największego korespondenta wojennego" Sir William Howard Russell, dalej Melton Prior z "Illustrated London News," Archibald Forbes z "Daily News" oraz dwunastu korespondentów wojennych, którzy życie oddali, pełniąc swe obowiązki w czasie kampanji w Sudanie i w Południowej Afryce.

"Journalist's Corner" w Katedrze św. Pawła ma swą wymowę. Uznano, że miejsce dziennikarzy, którzy na polu bitew służyli swej ojczyźnie nie orężem wprawdzie, ale piórem i słowem — jest właśnie obok zasłużonych dowódców wojskowych. Droga, którą toczyły się dzieje brytyjskiej "war correspondence" aż do tak zaszczytnego uznania — była wprawdzie krótka, ale nie łatwa. Warto się z nią zapoznać, choćby pobieżnie, w chwili narodzin polskich korespondentów wojennych.

Pierwszym prawdziwym korespondentem wojennym, który wojnę oglądał nie na mapach w sztabie, ale w pierwszej linji walk, był Irlandczyk William Howard Russell, późniejszy projektodawca stworzenia orderu "Victoria Cross."

Gdy w roku 1854 wybuchła wojna krymska, redakcja "The Times" wyznacza jednego ze swych najzdolniejszych reporterów, młodego prawnika Russella, by towarzyszył brytyjskim ekspedycyjnym siłom zbrojnym na polach bitew. Poraz pierwszy w stosunku do Russella "Times" użył wtedy określenia "war correspondent," który to tytuł samemu Russellowi wydał się raczej dziwaczny.

Jak się było można spodziewać "Whitehall" uznał pomysł wysłania reportera prasowego na wojnę za niesłychany. Odmówiono wydania pozwoleń i jakichkolwiek ułatwień. Russell, rasowy dziennikarz, nie zraża się jednak pierwszemi niepowodzeniami i postanawia mimo wszystko dotrzeć do celu, na własną rękę i własnym sprytem.

Z Anglji udaje się na Maltę pasażerskim statkiem. Na Malcie, dzięki znajomościom, dostaje się na okręt przewożący oddziały wojskowe i rusza w drogę do Gallipoli. Pojawienie się jego na okręcie, na pełnem morzu, budzi ogólną konsternację i oburzenie wśród wyższych oficerów.

Po wylądowaniu w Gallipoli Russell przystępuje do swej pracy sprawozdawczej. Wkrótce okazuje się, że Anglja jest zupełnie nie przygotowana do wojny. Russell zaczyna swą skuteczną akcję. W depeszach do "Times'a" opisuje on i piętnuje skandaliczne warunki istniejące w szpitalich wojennych, brak odpowiedniego wyżywienia i umundurowania żołnierzy oraz inne objawy kompletnego braku przewidywania ze strony sztabu dla zapewnienia podstawowego zaopatrzenia żołnierzy. Niedociągnięcia te kosztują życia ludzkie. Russell nie oszczędza w swej krytyce ani generałów ani rządu.

Depesze Russella wywołują oburzenie w "Whitehallu." Sekretarz stanu dla spraw wojny Sidney Herbert pisze do Gladstone'a, że sądzi, "iż armja zlynczuje korespondenta "Times'a," czego nikt nie będzie żałował." Książę Małżonek określa Russella jako "miserable scribbler." Wydaje się, że Russell jest pogrzebany.

Naczelny dowódca lord Raglan odmawia przyjęcia Russella oraz przyznania jakichkolwiek ułatwień transportowych, czy kwaterowych, mimo że w międzyczasie z Londynu przyszło do dowództwa polecenie dania możliwych ułatwień korespondentowi "Times'a."

Russell dalej jednak nie zraża się niczem. Kupuje konia i namiot i wykonuje w dalszym ciągu swoje zadanie. Na Krym dostał się znów dzięki poparciu niezwykłego jak na owe czasy generała Sir de Lacy Evans, który miał pełne zrozumienie dla zadań i roli jaką odgrywał Russell.

W Londynie w międzyczasie zmieniono zdanie o wiadomościach i krytyce Russella. Okazały się one w pełni prawdziwe i uzasadnione. Przystąpiono pod ich wpływem do zmian i reform w wojsku. Na tem polega wielka rola i zasługa Russella oddana publicznej sprawie. Swą prawością i niezłomnością oddał on też przysługę sprawie dziennikarskiej, przyszłych korespondentów wojennych. Przełamał pierwsze lody nieufności i sceptyzmu zbiurokratyzowanej kasty oficerskiej i urzędniczej w stosunku do prasy.

Gdy w czasie rozruchów w Indjach zjawił się jako "war correspondent" ten sam Russell, naczelny dowódca brytyjski Sir Collin Campbell powitał go mniejwięcej takiemi słowami: "Będzie Pan wiedział wszystko, co się dzieje. Będzie Pan miał wszelkie moje meldunki i rozkazy. Będzie Pan miał wszystkie informacje, które ja posiadam."

Tak to Russell w przeciągu trzech lat zrewolucjonizował poglądy wojskowych brytyjskich na rolę prasy....

Potem Russell był jeszcze korespondentem w czasie amerykańskiej wojny domowej (1861), podczas wojny prusko-francuskiej (1870) i południowo-amerykańskiej (1879), zawsze wykazując tę samą odwagę przekonań i uczciwość, które zrobiły go sławnym.

Po Russellu, drugim co do wielkości korespondentem wojennym był Archibald Forbes, którego korespondencje przesyłane z frontu prusko-francuskiego dla "The Daily News" spowodowały, że dziennik ten stał się w swoim czasie jednym z pierwszych.

Z kolei Wielka Brytanja toczy szereg kolonjalnych kampanij, z których najważniejszymi była kampanja Kitchenera w Sudanie i Południowej Afryce. W tym to czasie na czoło korespondentów wojennych wysuwa się młody współpracownik "The Morning Post," dziennikarz-żołnierz Winston Churchill. Wzięty do niewoli ucieka z niej i porzucając pióro chwyta za szablę.

Obecna wojna jest okresem rozkwitu instytucji korespondentów wojennych. Stało się to głównie dzięki generałom tej miary, co Wavell i Auchinleck oraz później dzięki generałom Alexander i Montgomery.

Gdy w grudniu 1940 roku Sir Archibald Wavell rozpoczął swą ofensywę, było wokół niego 6 korespondentów wojennych. W listopadzie następnego roku w czasie ofensywy na Libję było ich już 5, a latem 1942 —92. Korespondencje wysyłane przez nich wynosiły przeciętnie około 100,000 słów dziennie.

W Polsce, przed obecną wojną instytucja korespondentów wojennych nie istniała, aczkolwiek ze strony dziennikarzy, zarówno w mundurze jak i "w cywilu," podejmowano liczne starania o jej stworzenie.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej kilku dziennikarzy i literatów zgłosiło się na ochotnika, by pełnić obowiązki sprawozdawców wojennych. Nie byli oni jednak oficjalnie uznani. Wtedy to Adam Grzymała-Siedlecki w mundurze strzelca, a nie korespondenta wojennego miał ową słynną przygodę, jak kradł owies.

Jechał on na furce wojskowej, powożonej przez wysoką szarżę, starszego strzelca. Droga była daleka, a konie dawno porządnego nic nie jadły i nie było nadziei na otrzymanie furażu. Mijano właśnie pole zżętego owsa. Pan starszy strzelec rozkazał "korespondentowi wojennemu" przynieść parę snopków. Grzymała bronił się mówiąc, że to cudze, że kraść nie wypada.

Nic nie pomogły perswazje. Grzymała poszedł kraść owies....

Później los dziennikarzy w wojsku nie wiele się poprawił. Powstał wprawdzie klub sprawozdawców wojskowych oraz lotniczych, odbywały się wykłady specjalne na Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie, były różne starania, ale bez praktycznego rezultatu. Sam zaś przebieg kampanji wrześniowej uniemożliwił wszelkie w tym kierunku poczynania. Krwawy i ofiarny wrzesień przeszedł więc bez świadków. Świat niewiele wówczas się dowiedział —poza fałszem i umniejszaniem dokonanej przez potężną maszynę propagandową Niemiec — o wysiłku, o bohaterstwie żołnierza polskiego.

Gdy wojsko polskie znalazło się w W. Brytanji, gdzie instytucja dziennikarzy

rys. Marjan Walentynowicz.

wojennych miała już swoją chwalebną tradycję i wyrobioną pozycję — nadarzyła się wspaniała okazja wprowadzenia jej do Polskich Sił Zbrojnych.

Dzięki staraniom dziennikarzy-żołnierzy oraz dzięki zrozumieniu jakie inicjatywa ta znalazła wśród polskich władz wojskowych — w kwietniu b. r. ukazał się rozkaz Ministra Obrony Narodowej, tworzący instytucję korespondentów wojennych w Polskich Siłach Zbrojnych.

Tak więc niedługo wpośród oddziałów naszych ukażą się dziennikarze w mundurach wojskowych, bez dystynkcyj oficerskich, a jedynie z napisem "Prasa-Press". Będą to polscy korespondenci wojenni.

Z pewnością, śladem zaszczytnych wzorów kolegów brytyjskich oraz śladem zawsze ofiarnej i patrjotycznej pracy dziennikarzy polskich, nasi korespondenci wojenni wykonają chlubnie zadanie opisania życia i walk polskiej Marynarki Wojennej, Lotnictwa i Wojska. Jesteśmy pewni, że wykonają oni obowiązek, który nakłada na nich rozkaz Ministra Obrony Narodowej mówiąc: "Korespondentowi wojennemu powinna przyświecać naczelna zasada, że wysiłek wojenny Polskich Sił Zbrojnych ma znaleźć w nim sumiennego informatora i rzecznika."

Polski korespondent wojenny melduje się i przystępuje do swej odpowiedzialnej pracy — poraz pierwszy w dziejach dziennikarstwa i wojskowości polskiej.

NUMER
"Tygodnika Polskiego"
POŚWIĘCONY
WARSZAWIE
UKAŻE SIĘ
W NAJBLIZSZYM
CZASIE

czuciem chłodu. Janek postanowił więc wstać i wyjść na step. Pójdzie naprzeciw matce i bratu. Po drodze narwie dzikiego czosnku i naje się do syta.

Step, czerwieniejąc w zachodniem słońcu, był jakby zasypany jarzącym się węglem. Na niebie gorzały płomieniste smugi, a wśród nich stało ogromne słońce — krąg wypełniony ogniem. Wprędce jednak "sopki" połknęły słońce i zaraz też siny zmierzch przeciągnął się po stepie. Janek szedł zrazu dzielnie. W duchu postanowił, że teraz codzień będzie tak maszerował, że to będzie jakby zaprawa aż do tej chwili, kiedy ruszą w daleką drogę. Wnet jednak poczuł się zbyt ciężki. Chude nogi nie mogły go nieść. Nawet żołądek, choć pusty, zdawał się ciężyć. Trzeba było usiąść i odpocząć, a przecież nie uszedł jeszcze pięćdziesięciu kroków. Zapach piołunu odurzał i wnet też zaczęła Jankowi ciężyć głowa. Coś jak sen zmąciło myśli chłopca. I gdyby nie ukąszenia komarów, mógłby tak pogrążyć się w błogości bezsiły i omdlenia.

Opędzając się od komarów, zawrócił do domu. Szedł długo, zataczając się, padając. W ciemnej już izbie przyznał się sam przed sobą do swojej klęski: nie miał sił. Nic innego już się nie stanie, nic innego... Położy się na swojem posłaniu, a kiedy przyjdzie ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso — zostanie tu sam.

Po policzkach Janka ciekły bezwiednie łzy. Nie ocierał twarzy. Łzy wpływały do ust i słony ich smak jakby uśmierzał głód i łaknienie. Nagle wstrząsnęła Jankiem myśl: — Jem samego siebie, bo przecież łzy są moje, łzy to ja. — Mógłby był krzyczeć z przerażenia, ale bał się teraz siebie i swojego głosu.

Tak doczekał przyjścia matki i brata. Jędrek zaświecił lampę, zakrzątnął się przy rozpalaniu ognia pod kuchnią z kamieni. Matka pośpiesznie przygotowywała garnek z wodą, którą zasypała garścią krup jaglanych. Kiedy jedli wieczerzę i matka podzieliła już chleb na porcje, Jędrek odezwał się swoim zwyczajem trochę burkliwie: — Pojutrze będą kluski na mleku. — Janek wiedział wprawdzie, jaki to dzień będzie pojutrze, ale nie przyznał się, że pamiętał o swoich imieninach. Powiedział tylko: — Skąd dostaniesz mleka? — Jędrek zaśmiał się: — To już moja rzecz. Ty pewnie myślisz, że krowie, więc ci odrazu powiem, że kozie. Może ci nie będzie smakowało? Co?

Matka odezwała się cicho: — Nie dokuczaj mu, Jędrku. Przecież i tak nam nie wesoło. — Zamilkła na chwilę i znowu: — Nie wesoło nam. I sama nie wiem, jak ci to powiedzieć, Janku, bo tak teraz inaczej niż kiedyś. Pojutrze twoje imieniny. — Chciałabym, żebyś mi powiedział, co ci...

Nie dokończyła. Ale Janek prędko, jakby się bał, że inaczej tego nie wypowie, wyrecytował: — Chciałbym, żebyś mi dała cały bochenek chleba. Żebym miał cały bochenek dla siebie samego.

Matka milczała. Nawet Jędrek nic nie powiedział. Jankowi dopiero teraz przyszło na myśl, że matka pewnie nie ma pieniędzy na ten chleb. Więc też zaczął wszystko obracać w żart. Że tak naumyślnie powiedział o chlebie, że tylko dlatego, żeby drażnić się z Jędrkiem.

— Nie — nie — zaprzeczyła matka i wcale nie można było zrozumieć, czy kupi ten chleb, czy też nie.

Janek przez cały następny dzień odpędzał "marzenie" o chlebie, jak złą osę. Ale kiedy był już tak głodny, że prawie tracił przytomność, jawił mu się okrągły, wypieczony bochenek razowca. Była to jednak tylko — fata morgana. Jak wędrowiec przez pustynię, tak wędrował Janek przez długie godziny dnia. Bochenek chleba zjawiał się, zbliżał. Czuł jego zapach, wyobrażał sobie jego smak. Wtedy znikał.

Raz zdawało się Jankowi, że trzymał już chleb mocno w rękach. Teraz już mu się nie wymknie. I nóż miał w ręku. Ten sam, którym matka krajała chleb na trzy części. Więc i on tak samo — na trzy części, sprawiedliwie. Uważnie wycinał na skórce chleba figurę podobną do litery "Y". Dla matki, dla Jędrka, dla siebie. Widział nawet, jak biora swoje porcje, jak je zjadają ze smakiem.

Radość, jaką z tego odczuwał Janek, na chwilę wybiła go z nieprzytomności. Powiedział szeptem, w którym brzmiała rozpacz: — Niema, chcę...

Potem, gdy przyszli ze stepu, przebudził się na krótko. Na jawie i przytomnie ujął rękami chleb. Był cały, był dla niego.

Matka mówiła: Daję ci go dziś w wigilję imienin, bo świeży.

Poprosił o nóż. Głos jego był tak cichy, że matka musiała uklęknąć przy nim i zbliżyć twarz do jego twarzy. Zapytała trwożnie: — Co mówisz, Janku? — Powtórzył: — Nóż.

Ale nie miał siły podzielić chleba. Nóż wypadł mu z ręki. Jeszcze tylko szepnął:— Podzielić — na trzy — części — dla ciebie — dla Jędrka i dla... Słowa "mnie" już nie wypowiedział. Ogarnęła go ciemność i cisza.

OPINJE I ZDARZENIA

HERMINJA NAGLEROWA

Autorka wstrząsającego opowiadania, które dziś zamieszczamy, Herminja Naglerowa należała do czołowego szeregu pisarek w Polsce przed wojną. Najpierw jej prace nowelistyczne i krytyki literackie, podpisywane pseudonimem J. Stycz, później zaś już nazwiskiem sygnowane większe utwory beletrystyczne, zwłaszcza zaś cykl powieściowy "Krauzowie i inni" wyrobiły jej w naszym piśmiennictwie rzetelne i poważne imię. Zagnana w czasie tej wojny na kraniec Syberji, przeszedłszy bezmierne udręki fizyczne i tortury moralne wśród nich śmierć męża, zamordowanego przez bolszewików, znalazła się wreszcie pani Naglerowa wśród Polaków na Bliskim Wschodzie i stamtąd dochodzi nas jej wzruszająca opowieść, drukowana w Palestynie w piśmie "Po drodze".

Naszej koleżance tak ciężko doświadczonej składamy słowa radości, że jest znów między swymi i słowa nadziei, że jej twórczość, której tragedja przeżyta dała nowe siły będzie jeszcze piękniej służyć ideałom tak wymownie zawsze bronionym przez swą autorkę.

PROFESOR MARCELI HANDELSMAN ZAMORDOWANY

Profesor Marceli Handelsman został zamordowany przez Niemców w Sokołowie: oto wiadomość lakoniczna przyniesiona przez pisma. Do rosnącego potwornie męczeńskiego szeregu przodowników polskiej nauki, którzy padli jak żołnierze w walce z Niemcami, przybywa nowa ofiara: działacz naukowy, niezwykle zasłużony dla organizacji naszej wiedzy, dla Uniwersytetu Warszawskiego w szczególności. Prof. Handelsman zostawia po sobie poważny i cenny dorobek w zakresie polskich dziejów nowożytnych i dziejów dyplomacji; niejeden szczegół nieznany a ważny, niejedno oświetlenie oryginalne, niejedną solidną syntezę nasza wiedza historyczna jemu zawdzięcza. Przedewszystkiem jednak był Prof. Handelsman pedagogiem niezrównanym, wychowawcą uwielbianym całego pokolenia historyków, którzy od niego przejęli zarówno metody pracy naukowej, jak też umiłowanie historji ojczystej, pasję jej badania. Od pierwszego roku istnienia wskrzeszonego Uniwersytetu Warszawskiego prof. Handelsman był jednym z najbardziej oddanych, najwpływowszych jego organizatorów i kierowników. Jego seminarjum było odrazu niezwykle liczne, bardzo uczęszczane, pracujące niezwykle owocnie. Wybierany parokrotnie na dziekana filozofji, na członka różnych komisji naukowych i organizacyjnych położył prof. Handelsman dla wykształcenia naszej młodzieży i rozwoju Wszechnicy Warszawskiej zasługi niezatarte, których pamięć wyryta będzie na zawsze w sercu tych, co go znali.

ŚMIERĆ HERRIOT'A

Parę tygodni temu dowiedzieliśmy się, że Edward Herriot, uwięziony przez Niemców dostał pomieszania zmysłów; teraz przychodzi wieść o jego śmierci, nietrudno się domyśleć, jak tragicznej i okrutnej. Jest ona prawdziwą żałobą dla Francji, gdyż Herriot, polityk krótkowzroczny, mylący się często, pisarz pełen najlepszych intencji, ale bez wielkiego polotu, wcielał przecież pewne bardzo piękne tradycyjne cechy charakteru francuskiego: miłość wolności, wierność danemu słowu przedewszystkiem i dzięki nim parokrotnie w ciągu swej wielkiej karjery stawał się wyrazicielem ideałów swego narodu.

W czasie zawieszenia broni i później aż do dnia swego uwięzienia zarówno jak prezydent senatu Jeanneney, Herriot opierał się nieugięcie słowem i czynem najazdowi i ugodzie, stając się prawdziwym ośrodkiem oporu wewnątrz kraju i jego symbolem; projekty amerykańskie, związane z okupacją Północnej Afryki przewidywały jako jeden z punktów najważniejszych przyjazd do Algieru Herriota i jego przodownictwo polityczne we francuskim ruchu wyzwoleńczym. Mówca płomienny w najlepszym wielkim francuskim stylu, miłośnik namiętny poezji i muzyki, długoletni pełen inicjatywy i rozmachu mer Lyonu — Herriot umiera jak wielki bohater wolności, której ideałom nigdy się nie sprzeniewierzył.

WYSTAWA CZERMAŃSKIEGO

Zanim szerzej omówimy ważne zdarzenie artystyczne jakim jest wystawa Czermańskiego, chcemy już teraz zasygnalizować jej wielki sukces, który wyraził się przez bardzo ożywiony i tłumny wernisaż i zakup odrazu pierwszego dnia paru dzieł artysty. Nowe prace Czermańskiego, których część znają nasi czytelnicy z "Tygodnika", ale które koniecznie trzeba zobaczyć w oryginale, są pięknym rezultatem ciekawego i przełomowego wysiłku artystycznego podjętego od dłuższego czasu przez Czermańskiego. Czermański sięgnąwszy szczytów zarówno mistrzostwa jak i powodzenia sobie tylko właściwym, po memlingowsku precyzyjnym rodzaju, jak gdyby szukając trudności, a napewno szukając nowych zadań i osiągnięć, zwrócił się ostatnio ku czysto malarskim rozstrzygnięciom w swej sztuce, z natury przeciej bardzo literackiej, ku syntezie rysunkowej, ku tym, słowem, wartościom, w których Daumier na zawsze pozostanie dla wszystkich "malarzy życia" natchnieniem i wzorem.

Nowe prace Czermańskiego, wszystkie bezcenne jako dokument czasów, jako satyra i dramat, są też wszystkie niemal wielkiem zwycięstwem na obranej przez artystę nowej, trudnej drodze; są wyrazem nowego stylu Czermańskiego, zaskakującego tych co kochali się w drobiazgowościach i portretowych finezjach, chińszczyznach niemal dawnych jego obrazów, który przecież niewątpliwie niezadługo narzuci się wyobraźni ogółu. Wielki portrecista, to znaczy się niemal zawsze wielki karykaturzysta, dał Czermański na tej wystawie prawdziwą tragikomiczną epopeję Hitlera, pokazał jego sylwetkę zobaczoną i oddaną genjalnie w niezliczonych odmianach tej samej przerażającej osobowości, sylwetkę warjata i djabła, o ileż potężniejszą, bardziej artystyczną niż jakże płaska i naiwnie śmieszna koncepcja Chaplina.

Wystawa trwać będzie jeszcze tydzień. Wszyscy Polacy powinni ją zobaczyć. Codziennie od 1z-j do 6-ej (w Galleries of Modern Art, 18 West 57 Str.).

GUB. MIECZYSŁAW SZYMCZAK

Z wiarogodnych źródeł dowiedziano się, że znany wśród Polonji amerykańskiej gubernator Mieczysław S. Szymczak, kontroler miasta Chicago za czasów burmistrza Antoniego Cermaka i jeden z sześciu członków Rady Rezerwy Federalnej w Washingtonie, otrzymał od Prezydenta Roosevelta tymczasowy urlop celem spełnienia ważnego posłannictwa z ramienia biura sekretarza stanu Cordell Hulla.

Ma on wyjechać do Londynu celem odbycia konferencji z przywódcami rządów Wielkiej Brytanji i Polski.

Ze względu na jego działalność i znaczenie wśród Polonji amerykańskiej, panuje w Washingtonie przekonanie, że Szymczak odegra ważną rolę w określeniu stanowiska Polski i jej interesów po wojnie.

Swą karjerę polityczną rozpoczął p. Szymczak jako sekretarz sędziego powiatowego Edmunda K. Jareckiego.

DRUZGOCĄCA KLĘSKA IZOLACJONIZMU W U. S. A.

Dzień 21 września b. r. stał się dniem druzgocącej klęski izolacjonizmu amerykańskiego. Izba Reprezentantów uchwaliła olbrzymią większością 360 przeciw zaledwie 29 głosów słynną rezolucję Fulbright'a, zalecającą współpracę U. S. A. w dziele skonstruowania "międzynarodowej maszynerji" dla utrzymania "sprawiedliwego i trwałego pokoju."

Rezolucja ta, składająca się zaledwie z 51 słów, wniesiona została przez młodego posła ze stanu Arkansas, Fulbright'a, już z początkiem czerwca b. r. Początkowo nie wróżono jej w kołach Kongresu świetnej przyszłości. Jakież jednak zdziwienie opinji amerykańskiej, gdy w dniu 15 czerwca b. r. Komisja Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów składająca się z 14 demokratów i 11 republikanów uchwaliła tę rezolucję, przekreślającą wszystkie dotychczasowe hasła izolacjonistów — jednomyślnie.

Co więcej! Afirmowali ją w pełni nawet słynny izolacjonista Hamilton Fish oraz znana przeciwniczka polityki zagranicznej Prezydenta Roosevelta, posłanka Clare Booth Luce...

Równocześnie z przegłosowaniem rezolucji Fulbright'a w Komisji dla Spraw Zagranicznych, znany amerykański instytut Gallup'a przeprowadził ankietę na temat roli U. S. A. w świecie powojennym. Wyniki były znowu sensacyjne. W stanach Nowej Anglji za stanowiskiem izolacjonistycznem opowiedziało się tylko 9% głosów, a na środkowym Zachodzie, tej osławionej fortecy izolacjonizmu zaledwie 18%. Według tej samej ankiety 74% opinji amerykańskiej opowiedziało się za stworzeniem międzynarodowej siły zbrojnej dla ochrony pokoju światowego.

W tych warunkach głosowanie z dnia 21 września nie było już niespodzianką. Izolacjonizm amerykański w swej dotychczasowej postaci usycha i kończy się.

TAJEMNICA CZYTELNI

W "New York Library" przy ulicy 42 ej znajduje się czytelnia, oznaczona numerem 315. Nie każdy ma do niej dostęp. Jest to bowiem specjalna czytelnia dla pracowników naukowych, osłaniana przed tłumami przygodnych czytelników, przesuwających się przez sale bibljoteki w liczbie dziesiątek tysięcy rocznie. Przy stołach, wśród surowo przestrzeganej ciszy, siedzą starsi mężczyźni i sawe kobiety, pochylając gowy nad pracami naukowemi.

Ale i do tego zakątka wtargnęła pewnego dni wojna. Na sześć miesięcy przed inwazją Afryki Północnej zaciszne miejsca przy stołach zajęła spora garstka ludzi zgoła innego typu, o twarzach niepodobnych do skupionego wyrazu naukowców. Ci nowi przybysze zjawiali się codzień i gorączkowo studjowali mapy, encyklopedje, dzieła geograficzne i podróżnicze, nawet książki telefoniczne. Szczególnie książki telefoniczne obcych krajów, na których przedtem nie było amatorów, cieszyły się powodzeniem. Dziwni ludzie wypisywali z nich nazwiska, a szczególnie nazwy ulic. Nie wolno było ujawniać, jakiego rodzaju książki zamawiali sobie do przestudjowania.

Byli to wysłannicy z Military Intelligence Service, którzy gromadzili najszczegółowsze i najbardziej nieoczekiwane informacje, potrzebne do drobiazgowego przygotowania zbliżającej się inwazji.

Obecnie znowu ci sami ludzie zasiedli przy stołach tajemniczej czytelni 315. Znowu gorączkowo studjują i wertują książki i notują. Jaki temat sobie tym razem obrali? Nikt tego oczywiście nie wie...

OBROŃCY DEMOKRACJI

Jak komuniści w Stanach Zjednoczonych pojmują wolność słowa, poucza nas przygoda, która spotkała niedwno kolumnistę Westbrook Peglera, głośnego z artykułów, demaskujących korupcję i wyzysk niektórych leaderów amerykańskiego ruchu unijnego.

Pegler zaatakował ostro unję marynarzy handlowych, zgrupowanych w "National Maritime Union", zarzucając jej, że jest organizacją komunistyczną. Zamiast oczyścić się z tego zrzutu unja ta odpowiedziała stosowaną przez komunistów taktyką oszczerstw, wśród których pojawiło się oczywiście, aż do znudzenia powtarzane przy każdej okazji słowo "faszysta".

Szczytem kulminacyjnym tej nagonki była pikieta, złożona z tysiąca członków unji, postawiona przed redakcją "New York World Telegram", gdzie Pegler jest współpracownikiem. Delegacja pikiety zażądała, by Peglera usunąć z pisma a gdy spotkała ich odmowa, kierownik delegacji posunął się do gróźb i szantażu, mówiąc dosłownie: "You people better watch out, if you don't remove this guy you'll have more picket lines around this office. We're giving you warning now."

Redakcja "New York World Telegram" oczywiście nie dała się zastraszyć a "Collier's Weekly" dał do tego incydentu następujący komentarz: "Epizod ten jest ilustracją znamiennego faktu, mianowicie, że żądania ograniczenia wolności słowa i prasy, które się słyszy w Stanach Zjednoczonych, pochodzą głównie od lewicowców, radykałów i tym podobnych domorosłych miłośników rodzaju ludzkiego." "To właśnie ci totaliści czują, że byłoby lepiej, gdyby prasie było wolno drukować tylko to, co nakazałby jakiś amerykański odpowiednik Dr. Goebelsa."

AMERYKAŃSKI DEBJUT FILMOWY WŁADYSŁAWA EIGERA

W dniu 25 września odbyła się w Nowym Yorku audycja muzyki do krajoznawczego filmu polskiego w języku angielskim produkcji Polskiego Centrum Informacji z tekstami Jana Lechonia "Kraj mojej matki." Film ten w reżyserji Romualda Gantkowskiego i z udziałem Ewy Curie obiegnie w najbliższym czasie większe ekrany Stanów Zjednoczonych. Wstrzymując się do premjery prasowej z recenzją samego obrazu — podkreślić należy znakomite opracowanie muzyczne Władysława Eigera, kompozytora dobrze znanego zarówno polskiej publiczności z filmów "Trędowata," "Ułani," Dwie Joasie," jak i francuskiej ("Pepé le Moco," "Baker's Wife", Après Mein Kampf - mes crimes").

Znany również jako orkiestrator kompozytorów tej miary co Vincent Scotto i Van Parys, Eiger zadebjutował na gruncie amerykańskim specjalnie skomponowaną ilustracją symfoniczną w filmie "Kraj mojej matki," osiągając w amerykańskich kołach fachowych duże uznanie. Natychmiast po audycji zwrócił się do kompozytora polskiego jeden z największych wydawców nowojorskich Marx z zamówieniem opracowania dla amerykańskich orkiestr symfonicznych "Rapsodji Polskiej," opartej na przesłuchanej ilustracji.

Kompozycja Eigera operuje wyłącznie elementami folkloru polskiego i —łączona wariacjami motywu przewodniego "Roty", — wyróżnia się szeregiem oryginalnych obrazów muzycznych, jak "Częstochowa," "Zakopane," "Huty Śląskie," "Stadnina w Janowie" i. i.

Skromny odsetek artystów polskich, zdobywających z trudem amerykańskie rynki, powiększył się o jedną wartościową pozycję.

W "DZIENNIKU CHICAGOWSKIM"

znajdujemy następującą notatkę:

Pisząc o podarunkach dla żołnierzy na zbliżającą się Gwiazdkę, ksiądz Iciek taką w swej kolumnie w "Pittsburczaninie" zamieszcza uwagę: —

"Czemużby Koło Pisarzy Polskich, grupujących się przy "Tygodniku Polskim" nie zebrało odpowiednich nowelek, przygód, opowieści wesołych, humorystycznych i nie dało tego wyrdukować jako książki dla żołnierza polskiego?

"Niech to ktoś wydrukuje i chłopakom na Gwiazdkę pośle.

"Niech wiedzą, że się o nich pamięta".

Bardzo to piękna myśl, tylko mocno spóźniona.

Powstaje także pytanie, kto te "nowelki" napisze, zbierze i — jako książkę — wydrukuje"... a właściwie kto za to wszystko zapłaci?

Czynniki bowiem miarodajne, które pieniądze na takie cele posiadają — interesują się podobno tylko sennikami.. i książkami kucharskimi."

PAPIER WYGRYWA WOJNĘ

Nie napróżno szef WPB Nelson wzywa naród amerykański do oszczędzania papieru. Jest on bowiem niezbędny do prowadzenia wojny. Armja walczy papierem. Dosłownie. Każdy nabój, każdy pocisk wymaga specjalnego opakowania. Proch w znacznej części zrobiony jest z papieru. Żywność i amunicję wysyła się za morza w V-boxes, na wyprodukowanie których wychodzi pół miljona tonn papieru, czyli przeszło połowa wagi wszystkich wydawanych magazynów. Lotników amerykańskich chronią od zimna miękkie i ciepłe ubrania z papieru, armję chronią od upałów papierowe chełmy. Z papieru robi się dachy prowizorycznych budynków dla wojska, z papieru camouflage. Rury z papieru przeprowadzają wodę do baz operacyjnych, pokrowce z nieprzemakalnego papieru zabezpieczają karabiny przed wilgocią. Paczki spadochronowe, zapomocą których dostarcza się żywność i amunicję na wysunięte linje — są również z papieru.

CLEMENCEAU I TARDIEU

Andre Tardieu był w czasie poprzedniej wojny współpracownikiem Clemenceau, któremu zawdzięczał całą karjerę. Jak wielu innych, (Mandel, Jeanneney i gen. Mordacq byli wyjątkami), i on zdradził go gdy trzeba było coś poświęcić dla tej przyjaźni; ta zdrada jednak była przez całe życie najcięższym wyrzutem sumienia Tardieu.

Kiedy Clemenceau umierał, Tardieu robił wszystkie wysiłki, aby być przyjęty przez "Tygrysa" i uzyskać jego przebaczenie. Czekał w przedpokoju jego mieszkania i prosił lekarzy i pielęgniarki aby ubłagały umierającego o prawo zobaczenia go. I wreszcie Clemenceau powiedział nagabującemu go o tę łaskę dla Tardieu— lekarzowi: "Niech wejdzie, jak ostygnę".

1001-SZA ANEGDOTA O HITLERZE

Hitler ciężko zachorował. Gdy wysiłki lekarzy niemieckich nie dały pożądanych wyników i dostojny pacjent był już bliski śmierci — chwycono się ostatniej deski ratunku i — aczkolwiek niechętnie — wezwano do umierającego żydowskiego lekarza, znanego profesora R. H., któremu już od lat zabroniono praktykować.

Profesor zbadał dokładnie Fuehrera i oświadczył niemieckim lekarzom na konsylium:

— Przedewszystkiem należy pacjenta zanurzyć dwukrotnie w gorącej wodzie.

Specjaliści niemieccy stropieni, przerywają profesorowi:

— Nie rozumiemy. Dlaczego mamy go dwukrotnie zanurzać?

Odpowiedź profesora była prosta i jasna:

— Panowie koledzy nie dali mi dokończyć. Należy go dwukrotnie zanurzyć — ale raz tylko pozwolić mu się wynurzyć.

"BASIC ENGLISH"

Prasa amerykańska niejednokrotnie dowcipnie wykpiwa wszelkie próby tworzenia sztucznych uproszczeń angielszczyzny, które miałyby w przyszłości zastąpić esperanto. Jedną z metod "uproszczenia" języka Szekspira, Byrona i Miltona, lansowaną przez uniwersytet w Cambridge— jest t. zw. "Basic English", ograniczające język angielski do 850 słów podstawowych; podobno niemi można wszystko wyrazić.

Ostatnio wesołym celem amerykańskich feljetonistów stał się premjer angielski Churchill, jak wiadomo jeden z propagatorów tej metody. "New York Times" daje dowcipny persyflaż pewnych fragmentów przemówień wybitnych mężów stanu w "Basic English". I tak ulubione wyrażenie Churchilla: "Krew, pot i łzy" da się przetłumaczyć na: "Krew, woda twarzowa i woda oczna". Definicja Roosevelta "arsenał demokracji" brzmi w "Basic English: "zbiór armat wolnych rządów". "Unconditional surrender" nie daje się wogóle przetłumaczyć.

WASHINGTON'S WONDERLAND

O warunkach mieszkaniowych w Washingtonie a zwłaszcza o trudnościach otrzymania pokoju w hotelu — świadczy następująca anegdota, ujęta w formę krótkiej dwu-aktówki:

AKT I.

Nad rzeczką Potomac w Washingtonie.

Przechodzień: Tam ktoś tonie... Hej! Kto tam?

Głos z rzeki: Ratunku! Tonę!

Przechodzień: Jak się Pan nazywa? Gdzie Pan mieszka?

Głos z rzeki: Nazywam się Smith! Mieszkam w hotelu "Mayflower", pokój 1412. Ktoś pchnął mnie do rzeki! Ratunku! Tonę!

Ambasador William Bullit, który wypowiedział w Filadelfji piękną mowę o Polsce (przed nim: gen. Eisenhower i generał Ira Eaker)

Arcybiskup Yorku, bawiący obecnie w Moskwie.

Przechodzień: Bardzo przepraszam ale nie mam czasu. Dowidzenia na tamtym świecie. (gwiżdże na taksówkę).

AKT II (W hotelu)

Przechodzień: Przed chwilą utopił się w Potomacu człowiek nazwiskiem Smith. Mieszka tu w pokoju 1412. Biorę ten pokój!

Portjer: Niestety, pokój już zajęty.

Przechodzień: Jakto? Przez kogo? Ja pierwszy...

Portjer: Przez tego, który Smitha wrzucił do rzeki.

EGZAMIN

Amerykanie odznaczają się zdrowem poczuciem humoru i należycie oceniają wartość satyry, choćby była ona skierowana przeciwko nim samym. Przykładem dowcipnej auto-satyry jest anegdota na temat egzaminu maszynistek, powstała podobno w biurach Departamentu Stanu: W związku z brakiem kandydatek kwalifikowanych, znacznie złagodzono egzaminy dla urzędniczek federalnych; aplikantkę wprowadza się do pokoju, w którym stoją dwie maszyny, jedna do szycia, druga do pisania. Jeżeli kandydatka odróżni obie maszyny od siebie — zostaje natychmiast przyjęta.

NOTICE

The War Department, Army Map Service, Corps of Engineers, U. S. Army, is seeking maps, city plans, port plans, place name lexicons, gazeteers, guide books and geographical journals covering all foreign areas, outside the continental limits of the United States and Canada. They are particularly interested in maps and guide hooks purchased within the last ten years.

If you are not prepared to donate this material to the War Department, you may lend it for the duration, or long enough for reproductions to be made. Franked labels will be forwarded for your convenience.

It is important to indicate what is NOT WANTED. This includes maps issued by the United States Government and the National Geographical Society.

Please write to Miss Viola Klipell, Head of New York Library Branch, Army Map Service, Room 820, 1270 — 6th Avenue, New York, 20, New York

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo:

W załączeniu przesyłam czek na roczną prenumeratę Tygodnika Polskiego — proszę wysyłać numery począwszy od września a także załączyć w pierwszej wysyłce cztery numery Tygodnika z grudnia zeszłego roku i jeden styczniowy.

Nie mogę się wstrzymać od uwagi że Tygodnik Polski jest pierwszem i jedynem pismem polskiem, które się czyta z prawdziwą rozkoszą. Nietylko tendencja pisma jest piękna i ważna w obecnej chwili... artykuły wielkiej wartości literackiej, lecz najwięcej mnie zachwyca przepiękny polski język jakiego się nie spotyka w żadnem innem piśmie.

Szczęść Wam Boże Panowie w waszej pracy dla Polski i krzewienia polskiej kultury na wychodźtwie.

Z poważaniem,

Anna Pedicini
Chicago, Ill.

Szanowna Redakcjo:

W związku z tem, że regularnie otrzymuję pismo W. P., które sobie wielce cenię, proszę o odwrotne poinformowanie mnie, kto spowodował, że W. P. posiadają mój adres i otrzymuję "Tygodnik Polski", chciałbym bowiem tej osobie złożyć moje podziękowanie.

Ufny, że otrzymam odpowiedź w tej sprawie — zgóry serdecznie W. P. dziękuję.

Jednocześnie chciałbym W. P. oświadczyć, że studjowanie "Tygodnika Polskiego" sprawia mi osobiście bardzo dużo przyjemności.

Roman Barbacki
Anglja.

Szanowna Redakcjo.

Tygodnik Polski ma u nas wielkie powodzenie. Otrzymywany egzemplarz przechodzi "obiegiem" z rąk do rąk i jest czytany conajmniej przez kilkunastu Polaków.

Nie wiem tylko komu zawdzięczamy prenumeratę. — Czy jednemu z moich przyjaciół w Ameryce? Czy też Siostrze M. Zygmuncie — jak to wynika z "Tygodnika".

W każdym razie proszę Szanowną Redakcję o przesłanie naszych serdecznych podziękowań pod adresem nieznanego ofiarodawcy.

Z poważaniem
Kpt. A. Żyliński
Sierra Leone,
Afryka.

"TYGODNIK POLSKI"
na stacji
WHOM
W KAŻDĄ SOBOTĘ
O GODZ. 5.00 — 5.15
odbywa się
AUDYCJA
Literacko-Artystyczna
z udziałem
ARTYSTÓW I PISARZY
zgrupowanych naokoło
"TYGODNIKA POLSKIEGO"

W walce o przyszłość Ameryki i Polski biorą czynny udział Amerykanie polskiego pochodzenia. Miłujący wolność mieszkańcy Stanów Zjednoczonych budują samoloty, czołgi, armaty i okręty, produkują amunicję i żywność dla sił zbrojnych Zjednoczonych Narodów.

Amerykanie Polskiego pochodzenia nie zwalniają ani na chwilę tempa pracy, przyczyniając się do przyspieszenia zwycięstwa Ameryki, do odzyskania przez Polskę niepodległości.

* * *

TRWAJMY W WSPÓLNYM, WYTĘŻONYM WYSIŁKU.

* * *

PRZYSPIESZMY KLĘSKĘ WROGA.

* * *

L. W. S.
New York City

KUPUJCIE ZNACZKI
i
BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC.
IGNACY, PAWEŁ i MIECZYSŁAW NURKIEWICZ, Właściciele
175 Ashland Place Brooklyn, N. Y.
Tel. TR 5-9811

FIVE DAY WONDER COURSE
Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się należy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.
Telefonujcie lub piszcie:
HELENA RUBINSTEIN
715 — 5ta AVENUE
New York City
Tel. Eldorado 5-2100

Wysiłek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.

* * *

Tylko wspólnemi siłami przywrócony będzie trwały pokój na świecie.

* * *

W walce o lepsze jutro Stanów Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.

* * *

Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszem codziennem życiu.

* * *

ROBACZYNSKI
MACH. CORP.
OF AMERICA
326 TEN EYCK STREET
Brooklyn, N. Y.

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY
Redakcja i administracja:
806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168
Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski. Association of Writers from Poland.
Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński.
Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.
W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.
W Detroit, Mich. sprawy Tygodnika Polskiego" załatwia: Księgarnia Ludowa M. Żukowskiego, [illegible] Street — Tel. Plaza 24[illegible]